

moja Lesznawola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 październik 2019, nr 41



Gmina w obiektywie

Październikowy akcent naszej gminy. Stragan pani Lucyny Liwińskiej w tym miesiącu nabiera szczególnego kolorytu.



Spis treści

6 Od Redakcji

7 Marzenia jak ptaki...

...miałem dwanaście lat i blade pojęcie o tym, co mnie w życiu czeka

13 Żyję, bo jestem potrzebna

...w autobus wjeżdżający na skrzyżowanie z ogromną siłą uderzył rozpędzony TIR

19 Święto Środka Jesieni

...dla Chińczyków i Wietnamczyków jest tak ważne, jak Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc

22 Mężczyzna, który pokochał park

...zakochałem się w tym wszystkim od pierwszego wejrzenia

28 Taniec moje życie

...moja przygoda z tańcem trwa prawie tyle, ile mam lat

34 Najważniejsza jest ciekawość

...w Mrokwie jako nauczyciel WF pracowałem dwadzieścia siedem lat

40 Pani Ania z warzywniaczka

...niektóre dzieci traktują mnie jak ciocię

45 Pomarańczowa Lesznowola

...w naszej gminie październik ma tradycyjnie kolor pomarańczowy

48 Na kawową nutę

...kiedy jesień rozhula się na dobre, przyjdzie czas na drobne przyjemności





Od Redakcji

Wyborcza gorączka już za nami. Jeszcze przez jakiś czas z banerów i plakatów zawieszonych na płotach i słupach będą patrzyły na nas twarze kandydatów do sejmu i senatu, ale nikt już nie będzie zwracał na nie uwagi. Było, minęło. Czas pokaże, czy ci, którzy w rekordowej liczbie poszli do urn wyborczych, dokonali właściwego wyboru. Miejmy nadzieję, że tak.

O tym, czy my dokonaliśmy właściwego wyboru, przedstawiając w tym numerze „mojej Lesznowoli” ciekawych mieszkańców naszej gminy, będą się mogli przekonać Czytelnicy od ręki. Wystarczy poczytać.

Poznamy nastolatka, który z patologicznej rodziny, z warszawskiej Pragi trafił do rodziny zastępczej w Nowej Iwicznej i przeżył szok. Znalazł raj na ziemi i jest pewny, że wyrośnie na wartościowego człowieka.

Nauczycielka ze szkoły w Mysiadle, bohaterka kolejnego tekstu, po tragicznym wypadku uznała, że skoro żyje, to znaczy, że jest komuś potrzebna. I miała rację. Jest potrzebna swoim uczniom, których uczy zanikającej sztuki pisanie listów i kart świątecznych, a wszystko zaczęło się od zbierania znaczków pocztowych.

Prezentujemy architekta, który dzięki swojej pasji szukania w Google Maps starych dworów i parków trafił do Zamienia. Pokochał park w Zamieniu i postanowił o jego istnienie walczyć. Park jest ważnym miejscem dla lokalnej społeczności, podobnie jak sklep na osiedlu w Krzywej Iwicznej, którego właścicielkę, panią Anię, postanowiliśmy bliżej poznać.

Właścicielka Akademii Paso z tańcem związała swoje życie. W ostatni wrześniowy weekend sprowadziła do Centrum Sportu w Mysiadle tancerzy z siedmiu krajów na turniej Polish Open Championship.

Trener i nauczyciel WF z kolei był zapalnikiem powstania Uczniowskiego Klubu Sportowego Orłęta Mroków. Rozmawialiśmy nie tylko o sporcie, ale o życiu mężczyzny po przejściach.

Poza tym w numerze relacje z Lesznowskiego Święta Dyni i ze Święta Środka Jesieni, które odbyło się w Wólce Kosowskiej. W naszej kuchni – zapach świeżo zmielonej kawy.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069



Marzenia jak ptaki...

„Marzenia jak ptaki szybują po niebie” – śpiewali Trubadurzy, a wraz z nimi, w połowie lat sześćdziesiątych, śpiewała cała Polska. Dlaczego o tym wspominam? Bo siedzi naprzeciwko mnie pogodny siedemnastolatek, mówi o życiu, opowiada historię, która odbiera mi mowę, a ja patrzę na niego z uwagą i w głębi duszy słyszę tekst tej piosenki.

Kacper uczy się w klasie służb ratowniczych w trzyletnim liceum ogólnokształcącym w Piasecznie na Chyliczkowskiej. Interesuje się medycyną i wie, że ratownictwo medyczne to zawód z przyszłością. Marzy, by pomagać ludziom. Ma ku temu swoje powody.

Praska bieda

– Urodziłem się i wychowywałem w Wawrze, czyli na Pradze Południe. W dzielnicy, której towarzyszyła specyficzna atmosfera targowisk, biedy, cwaniactwa i tak zwany praski folklor. Wszystko to do dwunastego roku życia było moim udziałem – opowiada Kacper.

Mieszkaliśmy w czwórce, ojciec, mama, ja i moja o rok młodszą siostra w małej klitce, składającej się z pokoju i kuchni. Pokój był jednocześnie naszą sypialnią, a w kuchni była łazienka. Dom był przepelniony specyficznym zapachem papierosowego dymu i wódki.

Ojca niestety nie pamiętam, bo dość szybko nas opuścił i za jakiś rozbój trafił na dożywocie w więzieniu.

Mama szybko znalazła następcę ojca i nasza klitka bardzo się zagęściła. Urodziły się kolejno dwie siostry przyrodnie. Było nas już w tej klitce sześcioro. Mama nie pracowała, bo musiała zajmować się dziećmi. Ponieważ było nam bardzo ciężko, następcza taty zwinął zagłę, zostawił swoje córki i odszedł od mamy. Ja zostałem głową rodziny. Wiem, że to brzmi mało prawdopodobnie, bo przecie miałem zaledwie kilka lat, ale tak było. Na Pradze nie było to nic nadzwyczajnego.

Po pewnym czasie mama znalazła kolejnego kandydata na naszego ojczyma. Pracował – jak mówił – w zaopatrzeniu. Rozwoził beczki z piwem i alkohole do restauracji. Finansowo było nam coraz gorzej, bo mama znowu była w ciąży. Urodziły się kolejno dwie siostry, a później brat. Mama miała więc razem siedmioro dzieci. Dwoje z moim ojcem, dwoje z drugim partnerem

i troje z trzecim. Gdy urodził się chłopiec, mnie już w tym domu nie było.

Najgorszy był dla mnie trzeci partner mamy. Gdy mu coś w pracy nie wyszło, wyładowywał na mnie swoje frustracje. Po prostu mnie bił.

Z początku ukrywałem to przed mamą, ale po jakimś czasie nie musiałem już tego ukrywać, bo mama zaczęła się zachowywać tak jak on. Coraz więcej obowiązków spadało na moje barki, a gdy sobie nie radziłem, byłem bity.

Bił mnie wtedy, kiedy mamy nie było. Gdy zostawałem z nim sam na sam, kazał mi na przykład szorować podłogi albo w zimie przynosić węgiel. Jeśli coś robiłem według niego za wolno, to dostawałem kopa w zębra. Traktował mnie gorzej od zwierzęcia. Robił to na trzeźwo.

Kiedy mama chciała wziąć z nim ślub, czemu byłem przeciwny, powiedziałem jej, że on mnie bije. Na początku nie chciała wierzyć, bo przy niej udawał, że jest miły. Tylko jak zacząłem jej pokazywać ślady od paska i opowiadać, że jak wraca z pracy zły, to każe mi się kłaść, bierze pas i leje mnie na goły tyłek dotąd, aż mu się znudzi, uwierzyła.

Dwa razy trafiłem do szpitala z dość mocnymi obrażeniami. Mam też blizny na głowie, od deski z gwoździami, którą uderzył mnie ojczym.

Któregoś dnia nie wytrzymałem. Poszedłem w szkole do mojej wychowawczynie i wszystko jej opowiedziałem. Nie wiedziałem wówczas, że pani pedagog jest kuratorem sądowym, i byłem bardzo zaskoczony, gdy błyskawicznie zareagowała i wezwała na rozmowę panie z ośrodka pomocy społecznej.

Następnego dnia po tej rozmowie moja mama dostała nakaz sądu, że ma mnie odwiedzić do rodziny zastępczej, a jeśli tego nie zrobi, odbierze mnie policja. Gdy wróciłem ze szkoły, ostatni raz dostałem ostre lanie za to, że się poskarżyłem. Potem mnie spakowali i zawieźli na Migdałową w Nowej Iwicznej.

Miałem wtedy dokładnie dwanaście lat i blade pojęcie o tym, co mnie w życiu czeka.

Raj na ziemi

– W najśmielszych marzeniach nie zakładałem, że mogę wyjść z błota, w jakim żyłem. Kiedy dowiedziałem się, że mam pójść do rodziny zastępczej, nie wiedziałem, co to jest rodzina zastępcza. Myślałem, że pójść do jakiegoś domu dziecka, i byłem z tą myślą pogodzony.

Niespodzianka, jaka mnie spotkała, była prawdziwym szokiem. Gdy podwieziono mnie pod dom w Nowej Iwicznej, państwo Barbara i Sławomir Chruślińscy, moi nowi rodzice, powitali mnie w progu. Tak, to był szok. Nie trafiłem do domu dziecka czy jakiejś placówki wychowawczej, na którą byłem nastawiony, lecz do rodziny, która przyjęła mnie jak własnego syna. Pani powiedziała, że mogę do niej mówić mamo, a do jej męża mogę się zwracać jak do ojca.

W domu było jeszcze dwoje dzieci państwa Chruślińskich i pięcioro takich jak ja. Z mojej patologicznej rodziny trafiłem do ludzi, którzy pokazali mi, co znaczy miłość. Co to jest ciepło domowego ogniska i czym są wspólne posiłki spożywane przy jednym stole. W domu najczęściej jadłem to, co zostało z obiadu, siedząc na podłodze z psem.

Cztery lata temu trafiłem do raju na ziemi. Dziś, razem z dziećmi państwa Chruślińskich, jest nas w domu ośmioro. Cztery siostry i czterech braci.

...cztery lata temu trafiłem do raju na ziemi



Początki, mimo starań moich nowych rodziców i całej rodziny, były jednak bardzo trudne. Przyszedłem do nich z bagażem doświadczeń, których nie potrafiłem zrzucić z pleców i zostawić przed drzwiami nowego domu. Zbyt wiele miałem blizn, by tak z dnia na dzień podnieść się z ziemi i zacząć się uśmiechać jak gdyby nigdy nic.

Trwało to długo. Przez blisko półtora roku bardzo ciężko pracowała nade mną pani psycholog. Nie odzywałem się ani do niej, ani do mojej nowej mamy. Nie miałem do nikogo zaufania. Byłem zamknięty w sobie i agresywny. Nie potrafiłem wyzwolić się z Pragi i mojej przeszłości. Gdy mnie o coś prosili, tupiałem nogami, nie słuchałem i uciekałem z domu.

Na Pradze moi rówieśnicy skalkali sobie do gardeł i ja też to robiłem. Z rękami rzucałem się na mamę albo na tatę. Oni mówili „jedz obiad”, a ja mówiłem „nie chcę”, bo byłem przyzwyczajony, że nie jem obiadu.

Raz w tygodniu nowa mama wzięła mnie na spotkania z panią psycholog. Podczas nich najczęściej była ze mną, żeby powiedzieć, jaka jest

*...zbyt wiele miałem blizn,
by zacząć się uśmiechać jak
gdyby nigdy nic*

sytuacja, że jestem z interwencji i że nie jestem otwarty na rozmowę. Jakbym był niemową. Sukcesem było, gdy powiedziałem, jak się nazywam.

Od czasu do czasu w Warszawskim Centrum Pomocy Rodzinie spotykałem się z moją biologiczną mamą i siostrą. Bardzo źle to znosiłem. Szczególnie po tym, jak zobaczyłem, co to znaczy prawdziwy dom, jak są traktowane w nim dzieci i co to jest rodzina. Odżywały stare wspomnienia i poczucie krzywdy, z którego nie mogłem się wyzwolić.

Nie potrafiłem pogodzić w sobie tych dwóch rzeczywistości, w jakich żyłem. Tej z Pragi i tej z Nowej Iwicznej. Dlatego wspólnie z panią psycholog uznaliśmy, że nie jest dobrym pomysłem, abym nieustannie wracał do przeszłości, i powinienem wybrać to, co jest dla mnie dobre.

Mój wybór

– Przyszedł taki dzień, w którym moja nowa mama, widząc, jak się to wszystko we mnie kotłuje, przeprowadziła ze mną szczerą rozmowę. Na końcu przytuliła mnie do siebie i to pozwoliło mi się otworzyć. Zrozumiałem, że to ja sam muszę przełamać w sobie tę barierę i wszystko z siebie wyrzucić.

Pamiętam, siedziałem z biologicznym synem państwa Chruślińskich w naszym pokoju, bo mamy wspólny pokój, i w pewnym momencie coś we mnie pękło. Przyszła pani Barbara, a ja przez godzinę czy półtorej opowiadałem o sobie, płakałem i mówiłem, jak wyglądało moje życie.

To mi bardzo pomogło. Kiedy później spotykaliśmy się u pani psycholog, to mama wychodziła na kawę, a ja z panią psycholog rozma-

wiałem o tym, jak to jest, co czuję. A ja czułem, że mam ochotę na zemstę. Że wrócę tam do Wawra, że zrobię taką, że tak powiem, rozpierduchę tego domu, że mnie popamiętają. Pokażę im, że jestem, że nie zginąłem.

Z czasem dotarło do mnie, że ja nie chcę być taką samą patologią jak oni. Potrafiłem zdusić w sobie złe emocje i cieszyć się prawdziwą miłością, jaką obdarzyli mnie nowi rodzice. Zrozumiałem, że kiedy pojedę do starego domu, nawszadzam im, pokażę, jaki jestem kozak, to tym samym pokażę, że jestem taki jak oni, że wychowali mnie na obraz i podobieństwo swoje.

Wtedy z panią psycholog, z mamą i z tatą, po wielu, wielu rozmowach uznaliśmy, że odetnę kontakt z moją rodziną. Tylko tak mogę oderwać się emocjonalnie od mojej przeszłości.

Czas szybko leci. Jestem członkiem nowej rodziny już prawie pięć lat. Chodzę do liceum, dwa razy w tygodniu pracuję w Fashion House w sklepie odzieżowym, chodzę do kościoła, posługuję w kościele w Nowej Iwicznej, mam własną grupę modlitewną, której po części jestem animatorem, a teraz będę miał kurs lektorski i promocję w Świątyni Opatrzności Bożej. Mogę powiedzieć, że z takiego dzieciaka, małego rozbójnika z Pragi, nowi rodzice wychowali młodego człowieka z pewną klasą. Teraz odpowiadam za swoje czyny i wiem, że potrafię odpowiadać za swoje błędy.

Na koniec ubiegłego roku miałem w liceum średnią ocen 4.0. Dostałem stypendium. W szkole w Falenicy miałem średnią 2.3.

Marzenia

– Gdy trafiłem do domu państwa Chruślińskich, miałem tylko jedno marzenie – zapomnieć o tym, co było. Wyładowywać gdzieś te złe mocje, znaleźć coś, co pozwoli mi się kompletnie wyluzować. Ale nie w ten sposób, że będę chodził na sztuki walki i rozwałę ze złości treningowy worek, bo raz rozwałę worek, a innym razem wyładuję złość na człowieku i złe emocje przejdą na mój mózg. Dlatego pomyślałem, żeby zacząć chodzić na basen, rower, zacząć biegać czy jeździć na rolkach.

I to nie jest tak, że wystarczy zmęczyć się jednorazowo. Chodzi o to, żeby podczas jednego tygodnia systematycznie walczyć ze swoim lenistwem. Próbować za każdym razem mówić „dam radę” i przełamywać granice, żeby iść wyżej i jeszcze wyżej.

Gdy przyszedłem do mojego nowego domu, kondycyjnie leżałem. Sześćdziesiąt metrów biegałem w minutę. Zrobiłem trzy kroki i dosłownie dyszałem. Z bieżni musieli mnie zbierać. Chodziłem do gimnazjum na Krasickiego w Nowej Iwicznej. Przez trzy lata nawiązałem z rówieśnikami takie więzi, że dziś to są moi najlepsi przyjaciele. Najlepsi ludzie jakich poznałem.

W serduchu mam to, że oni mi bardzo w życiu pomogli. Bardzo się otworzyłem na klasę, na panią

wychowawczynią. Pani Grażyna Radkiewicz była wychowawczynią i nauczycielką WF-u i z nią cała klasa zgrała się tak, jakby to była jedna rodzina. Niestety, w trzeciej klasie problemy zdrowotne doprowadziły do tego, że nie ma jej już na tym świecie. Przejęła nas pani Edyta Główska, psycholog, i znowu wszyscy się z nią zakumplowaliśmy.

Dzięki rówieśnikom zacząłem poznawać, co to jest trening, co to jest poświęcenie czasu na sport. Przedtem wolałem być sam ze słuchawkami na uszach. A oni mi powiedzieli: „Kacper, jak nie masz nic do roboty, to choć z nami na boisko. Potem pójdziemy do kina”.

Jak dostałem pierwszy raz pieniądze od Chruślińskich, to był szok. W poprzednim domu pieniądze szły na papierosy, wódkę i imprezy rodziców, więc nie wiedziałem, ile wart jest pieniądz. Rówieśnicy mnie tego nauczyli. Teraz, gdy sam pracuję, to wiem, ile znaczą pieniądze. Jestem w stanie zrozumieć, jak to jest, gdy czasem dostaję kieszonkowe od mamy.

Od roku na poważnie biegam. Na początku biegałem sam. Jak zacząłem biegać na dystansie około 5 km i myślałem, że już jestem taki level hard, to mama przekierowała mnie do Fundacji Szczęśliwej Drogi, która pomogła mi zorganizować trenera, plany treningowe i karnet na siłownię.



Żeby wiedział, co robię źle i nie utrwał błędów przy bieganiu, zacząłem trenować w organizacji KS Staszewscy. Trener powiedział, że mam dryg do biegania, bo na pierwszym treningu były zawody na trzy kilometry. Ja z pacemakerem biegałem dookoła stadionu i wszyscy mówili, że bym nie przesadzał, tylko biegł swoim tempem, a na końcówce finiszował. Okazało się, że utrzymałem bardzo dobre tempo i oprócz pana Staszewskiego, który biega maratony i jest naprawdę dobry, prześcignąłem wszystkich. To był bieg moich marzeń.

I wszyscy powiedzieli: „Kacper, to jest bieganie. To jest to, co masz robić. Idź w tę stronę”. Któregoś dnia poznałem panią Julitę Ilczyszyn („moja Lesznowola” nr 30 i 35). To wspaniała kobieta, która biegła w runmageddonie w Maroku. Na filmiku zobaczyłem, jak ona biega runmageddon. To jest torpeda. Kobieta wystrzałowała. Jestem pod wielkim wrażeniem, że ma taką siłę.

Poczułem, że też muszę spróbować. Akurat na torze w Mysiadle



foto z archiwum prywatnego K. Majewskiego (x2)



fot. z archiwum prywatnego K. Majewskiego (K3)

...moim celem jest
Runmageddon Kaukaz

miał być rozegrany rundmageddon, więc postanowiłem wystartować w formule intro. To jest bieg na trzy kilometry z piętnastoma przeszkodami do pokonania. Przyszedłem do mamy i powiedziałem, że muszę wziąć w tym biegu udział i zobaczyć, jak to jest. Mama zgodziła się bez problemu. Powiedziała: „Ja nawet myślę, że będziesz się dobrze w tym czuł”. I okazało się, że miała rację. Zdobyłem pierwsze miejsce. To było dwa lata temu. Płakałem ze szczęścia.

Teraz miałem półmaraton. Przygotowywałem się do tego dość solidnie. Biegliśmy tam z gwiazdami i mistrzami olimpijskimi i uzyskałem czas 1 h 45. O pięć minut poprawiłem swój życiowy rekord. Potem

był bieg na 10 km. Zdobyłem drugie miejsce. Potem runmageddon i piąte albo czwarte miejsce.

Moim celem jest Runmageddon Kaukaz. To droga impreza, ale po rozmowie z panią Julią wierzę, że dzięki stronie internetowej zrzutka.pl, gdy opowiem o swoim życiu i swoich marzeniach, to może się uda – mówi z nadzieją Kacper Majewski.

– Teraz uczę się grać na pianinie. Umiem już grać na gitarze i na keyboardzie. Lekcje załatwia mi mama i to są zajęcia w GOK-u na Zimowej. Mama wie, że mnie trudno jest utrzymać w domu. Zawsze muszę coś robić. Moja rodzina bardzo mi kibicuje, a gdy odnoszę sukcesy,

to cieszą się razem ze mną. W jakimkolwiek momencie życia jestem, zawsze są ze mną, wspierają mnie i mówią, że staną za mną murem. ■



– To był tragiczny poranek. Na krajowej drodze nr 7, na odcinku z Mławy do Przasnysza, w autobus wjeżdżający na skrzyżowanie z ogromną siłą z prawej strony uderzył, mający czerwone światło, rozpędzony TIR, załadowany butelkami z oranżadą. Siła uderzenia była tak duża, że zmieniła kierunek jazdy autobusu. TIR odwrócił autobus z powrotem w kierunku Mławy.

– Jechałam tym autobusem. Siedziałyśmy z koleżanką na przodzie. Ja po prawej stronie przy oknie, dokładnie na miejscu, w które uderzył TIR – wspomina Beata Sosińska, polonistka ze szkoły im. Polskich Olimpijczyków w Mysiadle.

– Byłam wtedy na pierwszym roku studiów licencjackich w Instytucie Filologiczno-Historycznym w Mławie. Studiowałam język polski z logopedią i glottodydaktyką. Wracałam na niedzielę do domu w Przasnyszu. Miałam wracać w piątek, ale ponieważ moja koleżanka wracała w sobotę, pomyślałam: co będę sama jechała, wrócę z nią w sobotę. Widać takie było przeznaczenie.

Pamiętam, jak przyjechało pogotowie. Nie czułam nóg, nie mogłam ruszyć ręką, nie mogłam wstać, ale nie byłam pokaleczona. Ratownik pochylił się nade mną, popatrzył i powiedział: „Proszę wstać, nic się pani nie stało”.

Ale nie mogłam wstać, bo nie czułam nóg. Wyniesiono mnie z autobusu do karetki. W szpitalu lekarz powiedział, że brakowało kilku sekund, bym pożegnała się z życiem. „A jednak pani żyje” – dodał i pokręcił głową, bo po takim wypadku graniczyło to prawie z cudem.

Miałam pęknięty kręgosłup, złamany obojczyk, zwkniętą rękę, wstrząśnienie mózgu i inne wewnętrzne obrażenia. Opuszczając szpital zagipsowana od szyi do pasa, ale żyłam.

Bardzo długo po tym wypadku bałam się jeździć samochodem. Czułam lęk przy wyprzedzaniu czy mijaniu dużych pojazdów. Szczególny uraz miałam do TIR-ów. Jednak ta przykra przygoda, która mimo wszystko zakończyła się pomyślnie, podsunęła mi pewną refleksję, z którą opuszczając szpital: „Żyję, czyli jestem jeszcze na coś potrzebna. Warto wobec tego cieszyć się każdą chwilą, która jest przede mną”.

Nie poddawałam się. Kiedy na początku października wróciłam do domu, powiedziałam sobie, że muszę wyzdrowieć do końca roku. Miałam kupione buty, sukienkę, opłaconego sylwestra i silną motywację pójścia na bal. Nie mogłam tego wszystkiego stracić. Gdy zaczęłam powoli chodzić, przejście stumetrowego odcinka drogi z akademika do szkoły zajmowało mi prawie godzinę, bo nie mogłam stanąć na nodze.

Dopięłam swego. Choć gips miałam mieć zdjęty dopiero w styczniu, uprosiłam lekarzy, aby mi go zdjęto jeszcze w grudniu. Uwolniono mnie z tego pancerza przed samym sylwestrem i poszłam na bal. Wprawdzie wszystkim w oczy rzucał się wielki czarny siniak, jaki po zdjęciu gipsu miałam na ramieniu i odkrytych plecach, ale to mi wcale nie przeszkadzało. Wiele osób na mój widok szeroko otwierało ze zdziwienia oczy, bo nie wierzyli, że zdołam przyjść, a tu niespodzianka.

Nowy Rok przywitałam z uśmiechem na twarzy i mocnym przekonaniem, że potem będzie już tylko lepiej. Po balu jednak lepiej nie było. Ból kręgosłupa błyskawicznie się odnowił i musiałam przez miesiąc przechodzić rehabilitację. Chodziłam na nią z wiarą, że z każdym dniem będzie lepiej i że ból kiedyś ustąpi.

Polonistka przez przypadek

– Mimo wypadku skończyłam licencjat w Instytucie Filologiczno-Historycznym w Mławie i później wybrałam się na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski studiować filologię polską – opowiada pani Beata. – Ponieważ chciałam pogłębiać swoją wiedzę na temat człowieka i ludzkich zachowań, skończyłam profilaktykę społeczną z resocjalizacją. Potem była edukacja wczesnoszkolna i przedszkolna z terapią pedagogiczną, a na samym końcu zarządzanie oświatą.

Polonistką zostałam przez przypadek, bo nie myślałam o studiach uniwersyteckich. Chciałam iść w ślady mojego taty, studiować w Wyższej Szkole Policji w Szczytnie i zostać policjantką. Niestety kierunek, który obrałam, był akurat zamknięty, więc wybrałam się za koleżanką na uniwersytet studiować filologię polską.

W liceum miałam cudowną nauczycielkę języka polskiego. W Instytucie Filologiczno-Historycznym w Mławie też miałam szczęście do dobrych pedagogów, więc byłam dobrze przygotowana do egzaminu. Gdy zdałam na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, znowu miałam szczęście. Uczyl mnie między innymi wspaniały naukowiec i językoznawca, profesor Edward Breza. Cudowny człowiek, który świetnie przekazywał wiedzę, ciekawie mówił



...warto cieszyć się
każdą chwilą

o pochodzeniu imion i nazwisk. Między innymi jego wykłady utwierdziły mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłam, idąc na polonistykę.

Po studiach przez siedem lat pracowałam jako nauczyciel logopeda w Ośrodku Rehabilitacyjno-Edukacyjno-Wychowawczym w Olsztynie. Były w nim niepełnosprawne dzieci i osoby dorosłe. Tam między innymi pierwszy raz przypomniałam sobie tę myśl, która przyszła mi do głowy po wspomnianym wypadku: „Żyję, czyli jestem jeszcze na coś potrzebna”. W tym ośrodku zobaczyłam, że jestem potrzebna.

Pomagałam ludziom, którzy, chociaż cierpieli, cieszyli się życiem i każdą jego chwilą, a ja im w tym pomagałam. To było trudne i piękne.

Szkoła w Mysiadle

Spotykamy się w królestwie pani Małgorzaty Gajcy, w szkolnej bibliotece, mało podobnej do innych szkolnych bibliotek. Otwarte, jasne, ciepłe, przestronne i przyjazne miejsce z aneksem do cichej pracy i wygodnymi, kolorowymi kanapami do siedzenia. Pani Beata ma okienko między lekcjami.

Dlaczego uczy w Mysiadle? Bo siedem lat temu mąż dostał pracę w Piasecznie, więc rodzina, żeby być razem, a dziecko nie wychowywało się bez ojca, poszła za nim. Pani Beata podjęła pracę w szkole, bo jak mówi: „Można w niej zrobić dużo ciekawych rzeczy poprzez różnego rodzaju projekty i przekonać uczniów do swoich pasji”. Rozmawialiśmy więc o pasjach, do których pani

Beata przekonuje swoich uczniów. Jedną z nich jest zbieranie znaczków pocztowych.

Uczniowie listy piszą

– Pamiętam piosenkę Skaldów *Medytacje wiejskiego listonosza*. Często patrząc na moje znaczki, przypominam sobie jej słowa:

*Świat ma co najmniej tysiąc wiosek i miast
List w życiu człowiek pisze co najmniej raz...*

*Ludzie listy piszą, zwykle, polecione
Piszą, że kochają, nie śpią lub całują cię
Ludzie listy piszą nawet w małej wiosce
Listy szare, białe, kolorowe...*





Znaczki zbieramy z mężem od dziesięciu lat, ale mąż zbierał je już znacznie wcześniej i do dziś ma z tamtych lat swój pierwszy klaser. Ja zbieranie zaczęłam przypadkiem, bo – jak widać – przypadki w moim życiu odgrywają istotną rolę.

W domu, w którym się wychowywałam, był pielęgnowany zwyczaj pisania listów. Ja też jako nastolatka bardzo dużo pisałam do koleżanek, sama wysyłałam i dostawałam na święta kartki i pamiętam, że zawsze były na nich piękne znaczki pocztowe. Z uwagi na te znaczki zbierałam koperty po listach i składałam do pudełka świąteczne kartki.

Gdy poznałam mojego męża, jeszcze jako narzeczony powiedział, widząc moje zainteresowanie, że chyba ma jakiś klaser w domu, więc może razem zaczniemy zbierać znaczki. I tak się zaczęło.

Wszystkich, którzy do nas wysyłali listy czy kartki, prosiłam, żeby naklejali na nie ładne znaczki, i zawsze na te kartki czekaliśmy. Byliśmy ciekawi, czy znaczki na nich się powtórzą, czy będą takie, jakich jeszcze nie mieliśmy.

Odklejaliśmy znaczki nad parą i wkładaliśmy do klaserów. Klaser, który dostałam od męża, został bardzo szybko wypełniony znaczkami i kupowaliśmy następny. Wkrótce było ich kilka. W ten sposób mąż, który, będąc nastolatkiem, zbierał znaczki, po wielu latach, jako dorosły mężczyzna powrócił do zbierania znaczków. Stało się to naszą wspólną pasją.

Od razu uprzedzę, że nie jestem filatelistką w pełni tego słowa znaczeniu. Nie zastanawiamy się nad wartością znaczków, nie zbieramy po to, żeby je sprzedać. Zbieramy znaczki, żeby mieć wspomnienia. Jeżeli jesteśmy gdzieś na wyjeździe, to idziemy na pocztę lub do sklepu filatelistycznego i kupujemy jakiś znaczek z danego miejsca. Internet też daje nam taką

możliwość, że możemy wejść na aukcję i dokompletować znaczki, które chcemy mieć.

Sztuka pisania listów i zwyczaj wysyłania kart świątecznych czy imiennowych w dobie komputerów, internetu i SMS-ów niestety zamierają. Ludzie już dziś listów nie piszą i coraz rzadziej wysyłają kartki świąteczne na Boże Narodzenie czy Wielkanoc.

Ja cały czas wysyłam kartki, zwłaszcza na święta, i z niecierpliwością czekam na odpowiedź. Może ktoś odpisze i przyklei na karcie czy kopercie ciekawy znaczek.

Ktoś, kto nie zbiera znaczków, pewnie nie uwierzy, jak przeglądając je, można się przy tym odprężyć, uspokoić, wyciszyć, powspominać stare, dobre czasy. Te z okresu świątecznego przypominają, jak było w domu, jak wyglądały święta bez takiego jak dziś pośpiechu.

W zamawianie znaczków przez internet wciągnęliśmy już nawet naszą sześciolletnią córkę. Zamawiamy znaczki, a potem, gdy przyjdzie przesyłka, siadamy razem i oglądamy. Potem dobieramy je w pary czy serie, zaczynamy układać w klaserach, a córka patrzy i pyta, skąd są, od kogo dostałaś, a ja opowiadam. Czasem trudno pamiętać, od kogo znaczek się dostało, ale niektóre mają swoją historię poprzez sentyment do osoby, od której nadeszły, czy do miejsca, z którego są i w którym zostały kupione. Czasami zbieramy seriami: ptaki, pociągi, ludzi...

Moi uczniowie wiedzą, że zbieram znaczki. Gdy uczyłam w klasach 1-3, uczniowie przynosili swoje kolekcje, ja swoje i razem oglądaliśmy.



...zbieramy znaczki,
żeby mieć wspomnienia



Żeby sztuka pisania listów i zwyczaj wysyłania kart świątecznych nie zaginęły, co roku piszemy z uczniami listy. Pisaliśmy na przykład do szpitala onkologicznego do dzieci w Łodzi. Co roku wspólnie wysyłamy kartki świąteczne z pozdrowieniami do rodzin. Dzieci kupują znaczki, naklejają i wysyłamy. Przy okazji oglądają znaczki.

Jeżeli piszemy listy, jest to zwyczajna korespondencja między ludźmi, zawierająca proste informacje, a nie takie listy, jakie pisali Eliza Orzeszkowa czy Adam Mickiewicz. Te listy czytamy dla przykładu, bo przecież zmienił się język komunikacji i dla dzieciaków są one dziś często niezrozumiałe.

W tym roku też będziemy w klasie pisali i wysyłali listy i świąteczne kartki w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Trafiają one do dzieci z oddziałów onkologicznych i będą dla nich sygnałem, że ktoś o nich myśli. Wysyłamy listy na adres szpitala i zaznaczamy na kopercie, że korespondencja jest do dziewczynki lub chłopca w wieku takim a takim. To wystarczy, żeby trafiły we właściwe ręce.

Jest adres nadawcy, podawany z nadzieją, że ktoś, kto dostał list czy kartkę, odpisze. Kilka osób otrzymało odpowiedź zwrotną. Pisaliśmy też do kolegi, który po trzeciej klasie opuścił naszą szkołę i wyjechał z Polski. Od jego taty wiem, że gdy otrzymał list, bardzo był wzruszony, zachwycony, że nadal o nim pamiętamy. W liście były proste pytania kolegów i koleżanek. Pytali, jak żyjesz, co u ciebie, pisali: „Teżkniemy za tobą i fajnie, że byleś z nami?”. Tobiasz czytał wszystkie listy, a ja dostałam podziękowania od taty, że nadal o chłopcu pamiętam. Był moim uczniem przez trzy lata.

Szkoda, że tradycja pisania listów i wysyłania świątecznych kartek przegrywa z postępem. Z internetem i telefonem. Ja z moimi uczniami tę tradycję jeszcze podtrzymujemy.

Teatr

– Dodatkowo prowadzę w szkole zajęcia teatralne. Sporo osób na nie przychodzi, bo są to przedstawienia, a nie występy. Nie polegają one na tym, że ktoś wyjdzie i zaśpiewa albo powie wierszyk, ukloni się i zejdzie ze sceny. U nas musi się coś dziać, musi być akcja. Spektakl jak w teatrze musi być wyreżyserowany i doprecyzowany. Od stroju, poprzez scenografię i ruch. Wszystko musi być idealne, chociaż zawsze mam jakieś uwagi do siebie, że coś mogło być zrobione lepiej.

W tym roku na zajęciach polonistycznych będziemy chcieli zająć się Szekspirem. Będziemy rozmawiali o teatrze, o sztuce pisania, o interpretacji wierszy i spróbujemy z uczniami piątej klasy zagrać *Romea i Julię*.

Pod koniec roku szkolnego mieliśmy przedstawienie, w którym brali udział rodzice, a raz w przedstawieniu z rodzicami sama wzięłam udział. To było przedstawienie zachęcające do czytania, z przesłaniem, by odłożyć smartfona, telefon, odejść od komputera, wyjść na dwór, wziąć książkę i zacząć rozwijać i pogłębiać wyobraźnię.

Tak naprawdę wiele razem robimy. Dwa razy graliśmy z Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaka, bo uczniowie bardzo chętnie podeszli do tej akcji i był bardzo trudny wybór wolontariuszy, gdyż zgodnie z wymogami mogliśmy mieć tylko ośmiu na trzy szkolne budynki, a chętnych było kilka razy tyle. Selekcja była bardzo trudna.



Kto pierwszy się zapisał, zgłosił, ten był wolontariuszem. Uczniowie chętnie przynosili na kiermasz ciasta, książki, zabawki, wszystko, co można było kupić za dowolną cenę. Rodzice się bardzo chętnie angażowali w tę akcję, przynosili różnego rodzaju vouchery, na przykład do kina i do Centrum Nauki Kopernik.

Nie ustalaliśmy ceny sprzedaży, ale uczniowie podchodzili do tego profesjonalnie. Nie kupowali niczego za złotówkę czy dwa złote, bo wiedzieli, na co pójść ich pieniądze.

Obecnie jestem wychowawczynią piątej klasy. Gdyby ta praca nie sprawiała mi frajdy, to by mnie tu nie było. Lubię mieć kontakt z dziećmi, z młodzieżą, a świadomość, że to spotyka się z wzajemnością, jeszcze tylko człowieka nakręca do działania.

Miło jest, że chętni przychodzą na kółko polonistyczne, które prowadzę, i nie przychodzą po to, żeby sobie posiedzieć, ponieważ i tak mają zajęcia do 16.00, lecz po to, by wziąć w zajęciach czynny udział. To jest fajne i stanowi kolejny dowód na to, że „jestem na coś jeszcze potrzebna”. ■



ŚWIĘTO SRODKA JESIENI



Stowarzyszenie Wspierania Przedsiębiorczości Wólka Center, którego członkami są chińscy, wietnamscy i tureccy przedsiębiorcy, zaprosiło mieszkańców naszej gminy na obchody święta, które w ich ojczyznach obchodzone jest od trzech tysięcy lat.

Według legendy było tak. Dawno, dawno temu żył w Chinach bohaterski łucznik Hou Yi i jego piękna żona Chang'e. Któregoś ranka na niebie wzeszło dziesięć słońc i prażyło tak, że wypalało wszelkie uprawy. Ludziom zagroził głód i bieda. Wtedy Hou Yi wziął swój łuk i zestrzelił dziewięć słońc, a temu, które zostawił, nakazał wschodzić i zachodzić zgodnie z odpowiednim czasem.

Łucznik stał się bohaterem ludzi, a Królowa Matki Zachodu, bogini Xiwanmu, podarowała mu w nagrodę eliksir, dzięki któremu miał się stać istotą niebiańską i wznieść się do nieba. Hou Yi dał eliksir na przechowanie żonie, bo gdyby go wypił, musiałby rozstać się z piękną Chang'e.

Pewnego dnia w środku jesieni, piętnastego dnia ósmego miesiąca księżycy, łucznik poszedł na polowanie, a do jego domu włamał się jeden z jego uczniów, który wiedział o eliksirze i chciał go wykraść. Dzielna Chang'e broniła eliksiru męża. Gdy zdała sobie sprawę, że z napastnikiem nie wygra, wypłała płyn, stała się istotą niebiańską i uleciała do nieba. By jednak być bliżej kochanego męża, osiadła na księżycu.

Gdy Hou Yi wrócił do domu i nie zastał żony, domyślił się, co się stało. Wystawił w ofierze przed domem jej ulubione ciastka i owoce, a sąsiedzi postąpili podobnie. Od tamtej pory, piętnastego dnia ósmego miesiąca księżycy, w samym środku jesieni w Chinach i Wietnamie, kiedy wypada pełnia, datuje się tradycja czczenia bogini księżycy Chang'e. Święto Środka Jesieni. Tak głosi legenda.

Święto Środka Jesieni dla Chińczyków i Wietnamczyków jest tak ważne, jak Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc.

W XVII wieku, kiedy skutkiem podboju Wietnam, Kambodżę i Laos zajęli Francuzi i do wybuchu II wojny światowej utrzymywali swoje azjatyckie kolonie siłą, stosując przemoc i terror, w Wietnamie zakazano obchodzenia Święta Środka Jesieni. Przyczyną zakazu, jak opowiada Trong Hung Tran, prezes zarządu Stowarzyszenia Wólka Center, był bunt ludności wietnamskiej przeciw okupantowi, zorganizowany podczas jednego ze świąt.

Wietnamczycy nie podporządkowali się okupantowi i boginię księżycy czcili po cichu w swoich domach. Robili to dla swoich dzieci i ta tradycja święta dla dzieci przetrwała do dziś. Symbolem święta są specjalnie na tę okazję wypiekane ciasteczka w kształcie księżycy.

W Chinach Święto Środka Jesieni jest świętem narodowym dla wszystkich.

ALEJA SMAKÓW AZJATYCKICH

Phở ẩm thực WÓLKA

Wólka Kosowska, ul. Międzynarodowa 3



A jak było w Wólce Kosowskiej? Zorganizowano wielki piknik integracyjny, przede wszystkim dla dzieci z naszej gminy, choć nie brakowało dorosłych.

Na pochmurnym tego dnia niebie powiewały kolorowe, papierowe balony, a w powietrzu unosiły się wspaniałe zapachy azjatyckiej kuchni. Na stoiskach tureckich, chińskich i wietnamskich królowały charakterystyczne dla poszczególnych krajów potrawy. Były małe szaszłyki i opiekane kurze nóżki, ciastka, owoce i pyszne sajgonki.

Sołectwo Wólki Kosowskiej, które wraz z urzędem gminy było współorganizatorem obchodów, kuśilo tradycyjnymi pierogami i żur-

kiem, do degustacji których zapraszała pani sołtys Jadwiga Tomera.

Przed Lesznowskiem Kołem Fortuny mieli mieszkańcy naszej gminy próbować szczęścia, odpowiadając na wylosowane pytania z wiedzy o Chinach, Turcji, Wietnamie i Polsce. Nikt bez nagrody nie odszedł.

Całodniową imprezę wypełniały występy zespołów artystycznych z krajów, które były gospodarzami imprezy, a wśród nich znalazł się Zespół Piosenki Biesiadnej MROKOWIACY.

Na boisku w pobliskim Kosowie rozgrywano międzynarodowy turniej piłki nożnej, który zakończył się zwycięstwem Wietnamczyków przed reprezentującą Gminę Lesznowola Walką Kosów.

Przy okazji świątecznej zabawy została otwarta Aleja Smaków Azjatyckich, w której miłośnicy egzotycznej kuchni będą mogli odnaleźć niepowtarzalne smaki z dalekich stron. Zupa pho, makaron chiński z krewetkami czy ryż smażony z wieprzowiną mają szansę znaleźć zwolenników także wśród polskich mieszkańców Lesznowoli.

Święto Środka Jesieni zadebiutowało w tym roku w naszej gminie i okazało się doskonałą imprezą integracyjną nie tylko dla azjatyckich mieszkańców Wólki Kosowskiej. Mamy nadzieję, że na stałe wpisze się w lesznowski kalendarz imprez. Nowe smaki, inna kultura i zwyczaje – to zawsze poszerza horyzonty. ■



Mężczyzna, który pokochał park

– Google Maps to cudowny wynalazek. Siedzi człowiek w domu, przesuwa kursorem po mapie i szuka na ekranie komputera miejsca, w którym chciałby zamieszkać. Ja tak robiłem – mówi architekt Robert Tyszek. – W ten sposób znalazłem Zamienie.



fot. z archiwum prywatnego R. Tyszka

– Gdy powiedziałem znajomemu z Podlasia, że zamieszkać w Zamieniu, pomyślał chwilę i skwitował tę wiadomość tak: „Zamienie. Ciekawa nazwa. Czy wiesz, skąd się wzięła? – Pewnie od jakiejś zamiany. Coś za coś – odpowiedziałem. – Nie, nie. Zamienie to znaczy, że coś jest za wodą. Zwróć uwagę, że człon nazwy „mienie” występuje w wyrazie „strumienie”. „Mienie” to po staropolsku woda, która się mieni. Płyne i się mieni. Zamienie więc było za wodą”. Nie wiem, czy to jest prawda, ale mówił z takim przekonaniem i tak pięknie, że byłem i jestem gotów w to uwierzyć – mówi pan architekt.

Szukałem, aż znalazłem

– To było kilka lat temu. Miałem narzeczoną i szukałem miejsca, gdzie w przyszłości moglibyśmy zamieszkać. Brałem pod uwagę dwie lokalizacje. Jedna blisko Puszczy Kampinoskiej i druga w Zamieniu. W obu przypadkach decydująca była bliskość przyrody. Tam puszcza, tu stary park, starodrzew i dwór. Niektórzy mówią, że nie dwór, tylko folwark.

Przez kilka lat z ogromną przyjemnością jeździłem rowerem po Warszawie, ale kilka groźnych sytuacji i jeden wypadek z tej namiętności mnie wyleczyły. Doszedłem do wniosku, że rowerzysta w tym mieście wcześniej czy później może się spotkać z samochodem i to spotkanie skończy się źle dla rowerzysty. To mnie wyleczyło z rowerowych rajdów po mieście. Znalazłem inne, bezpieczne rozwiązanie.

Siadałem przed ekranem komputera, klikałem Google Maps, patrzyłem na mapy satelitarne i szukałem w pobliżu Warszawy miejscowości, gdzie są stare dwory i pałace. Ku mojemu zdziwieniu okazało się, że jest ich na Mazowszu więcej niż ja, architekt po Politechnice Warszawskiej, zainteresowany tymi budowlami, myślałem.

W związku z tym w soboty bardzo wcześnie rano wsiadałem na rower i jechałem w trasę oglądać na żywo znalezione na mapie satelitarnej dwory i pałace. Czasem pewne odcinki podróży odbywałem pociągiem, a potem wsiadałem na rower i jeździłem od dworu do dworu, od pałacu do pałacu, od wsi do wsi. Oglądałem i podziwiałem.



Znalazłem je w Teresinie, Kaskach, Szymanowie, Guzowie, Kawęczynie, Strugach, Passach, Pilaszkwie, Celestynowie, Dłużewie, Kątach, Kołbieli, Sufczyniu, Żakowie i wielu jeszcze innych okolicach.

*...oczarowany pięknem
zaczęłem robić zdjęcia, bo
fotografia to moje hobby*

Były to najczęściej zapuszczone obiekty na uboczu wsi. Piękne, ale upadające, rzadko kiedy znajdujące się w dobrym stanie. Przywoziłem z tych wędrowek sporo zdjęć. Rozmowy z ludźmi, którzy znali historię tych budowli, zamieszkiwali je na mocy różnych dekretów albo byli kolejnymi spadkobiercami właścicieli, stały się dla mnie źródłem bardzo interesujących wiadomości.

Gdy mówiłem, że jestem architektem i interesują mnie losy tego typu budowli, mieszkańcy prawie wszędzie bardzo serdecznie mnie przyjmowali. Szczególnie starzy właściciele, którzy po wielu przeżyciach osobistych wrócili po wojnie do swoich majątków i znaleźli je zrabowane, zniszczone i okrojone z ziemi przez państwo.

Ludzie ci byli bardzo otwarci. Nie tylko chętnie opowiadali swoje historie, ale zapraszali do domów, pokazywali stare meble, często z XVII i XVIII wieku, obrazy i inne rodzinne pamiątki. Te wyprawy rowerowe bardzo wiele mnie nauczyły i dały do myślenia. Jednym z takich miejsc, do których w tych swoich wędrowkach dotarłem, było właśnie Zamienie.



fot. z archiwum prywatnego R. Tyszka

gankiem i kolumnami, ale dwór naśladujący renesansowe wille włoskie – z wieżą, stromym dachem, nieregularnym obrysem w planie zabudowy, rzeźbionymi elewacjami i właściwym dla tego typu budowli podziałem okien.

Poza tym charakterystyczne dla parków dworskich były stawy, a w tym parku były dwa. Był też spichlerz.

Śladami hrabiego

– Gdy zacząłem szukać informacji o tym miejscu, okazało się, że dwór nie był nigdy opisany. Przynajmniej ja na żadną taką publikację nie trafiłem – opowiada pan Robert. – Natomiast w archiwum cyfrowym jednej z bibliotek, chyba Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – jeśli sobie dobrze przypominam – natknąłem się na skan mapy z 1916 roku, przedstawiający plan melioracji i kanałów na tutejszych gruntach. Plan był zrobiony przez hrabiego Przeździeckiego.

To był pierwszy trop, za którym poszedłem. Zacząłem szukać informacji związanych z nazwiskiem hrabiego. Znalazłem Jana Wacława Przeździeckiego, który był wojskowym i w czasie I wojny światowej dowodził kompanią, a następnie batalionem. Po odniesionych ranach w bitwie w Prusach Wschodnich został uznany za niezdolnego do służby liniowej i zwolniony z armii. Od maja 1915 roku przebywał w Warszawie i pracował w komisji wojskowej.

W listopadzie 1918 roku jako kapitan został wyznaczony na stanowisko szefa Wydziału I Organizacyjnego Sztabu Generalnego w Warszawie, a w grudniu przesunięty na stanowisko szefa Oddziału VII Naukowego SG. Podejrzewam, że to właśnie w tamtych latach przeniósł się do dworu w Zamieniu i to wtedy przeprowadzono tu meliorację i wykopano rowy melioracyjne.

W czasie wojny z bolszewikami dowodził brygadą piechoty i awansował na stopień podpułkownika, a potem pułkownika.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, już jako generał w stanie spoczynku został dowódcą Ośrodka Zapasowego uwańskiej i Podlaskiej Brygady Kawalerii. Podczas agresji Sowieców na Polskę jako dowódca bronił Grodna przed Armią Czerwoną. Aresztowany przez NKWD trafił do obozu w Kozielsku, a stamtąd na rozkaz szefa NKWD Ławrientija Berii został przewieziony do Moskwy i osadzony w więzieniu na Łubiance.

Jako generał otrzymał propozycję utworzenia polskiej armii u boku Armii Czerwonej. Gdy postawił warunek, że musi na to uzyskać zgodę polskiego rządu, został przewieziony do obozu jenieckiego NKWD w Griazowcu.

Po zawarciu układu, przywracającego zerwane w 1939 roku po agresji ZSRR na Polskę stosunki dyplomatyczne, generał został wypuszczony z niewoli i wyjechał do Palestyny. Zmarł 29 czerwca 1964 w Penley w Wielkiej Brytanii i został pochowany na cmentarzu w Pwllheli w Walii.

Tak oto, przy okazji poszukiwań dokumentów związanych z dworem w Zamieniu, poznałem historię życia jego prawdopodobnego ostatniego właściciela, hrabiego Przeździeckiego. Myślę, że brak dokumentów dotyczących historii dworu w Zamieniu może być związany z faktem, że zaraz po wojnie na terenie parku powstała wytwórnia surowic i szczepionek i obiekt ten, jako strategiczny, był dla reszty świata zamknięty.

Gdy w 2004 roku zakład upadł, teren stał się powszechnie dostępny i został sprzedany w ręce prywatne, w których znajduje się do tej pory. Drogi są własnością naszej gminy.

Spotkanie z parkiem

– Pierwszy raz przyjechaliśmy z żoną do Zamienia wiosną 2015 roku – opowiada pan Robert – żeby zobaczyć, jak przebiega budowa osiedla, w którym mieliśmy zamieszkać. Wprawdzie wszystko było jeszcze w stanie surowym, ale widoki, jakie się przed nami roztaczały, po prostu nas urzekły. Dookoła pola, łąki i stary park.

Pierwszy raz wypuściliśmy się na daleki spacer przez pola, przez park, zobaczyłem ten dwór, którego szukałem na zdjęciach satelitarnych, i muszę przyznać, że zakochałem się w tym wszystkim od pierwszego wejrzenia.

Wtedy jeszcze były aleje parkowe, wprawdzie zarosnięte, ale pełne tętniącego w nich życia. W parku mieszały sowy, różne gatunki dzięciołów, krzyczały sójki, a na stawach polowały czaple, które spłoszone zrywały się majestatycznie do lotu. To było coś wspaniałego. Matki z dziećmi w wózkach spacerowały po alejach i widać było, że ten park jest tu wszystkim ogromnie potrzebny.

Patrzyłem też na to wszystko okiem architekta, bowiem uważam, że jakkolwiek miejscowość, która się rozbudowuje, powinna mieć nie tylko infrastrukturę w rodzaju wodociągów, kanalizacji, sieci elektrycznej czy przedszkoli dla dzieci, ale też parki i tereny zielone, by ludzie mieli czym oddychać, żeby im się dobrze żyło. I tu tak było.

Ludzie osiedlali się w Zamieniu, bo to wszystko tak jak ja widzieli i takiego miejsca do życia szukali. Gdyby chcieli mieszkać w blokowiskach, wśród murów, to szukaliby mieszkań na Ursynowie. Tu było wszystko na miejscu, tak jak w Magdalence czy w pobliskich Falentach.

Oczarowany pięknem zacząłem robić zdjęcia, bo fotografia to moje hobby. Fotografowałem, a właściwie dokumentowałem zmieniające się pory roku, a obrazy, które



Dowiedziałem się, że będzie tu budowane osiedle mieszkaniowe. Gdy zobaczyłem na ekranie komputera starodrzew, od razu pomyślałem, że był on związany z dworem, który – choć go nie rozpoznałem na zdjęciach satelitarnych – musiał tu kiedyś być.

Przyjechałem do Zamienia, pochodziłem po parku i doszedłem do wniosku, że układ drzew jest taki sam, jak w dworach na Mazowszu, które odwiedzałem. Starodrzew, aleja, dawna brama i łąki od strony dzisiejszej ulicy Waniliowej. Przydrożne drzewa rosnące przy nieistniejącej już dziś drodze na Podolszyn. Jedyna po tej drodze pamiątka.

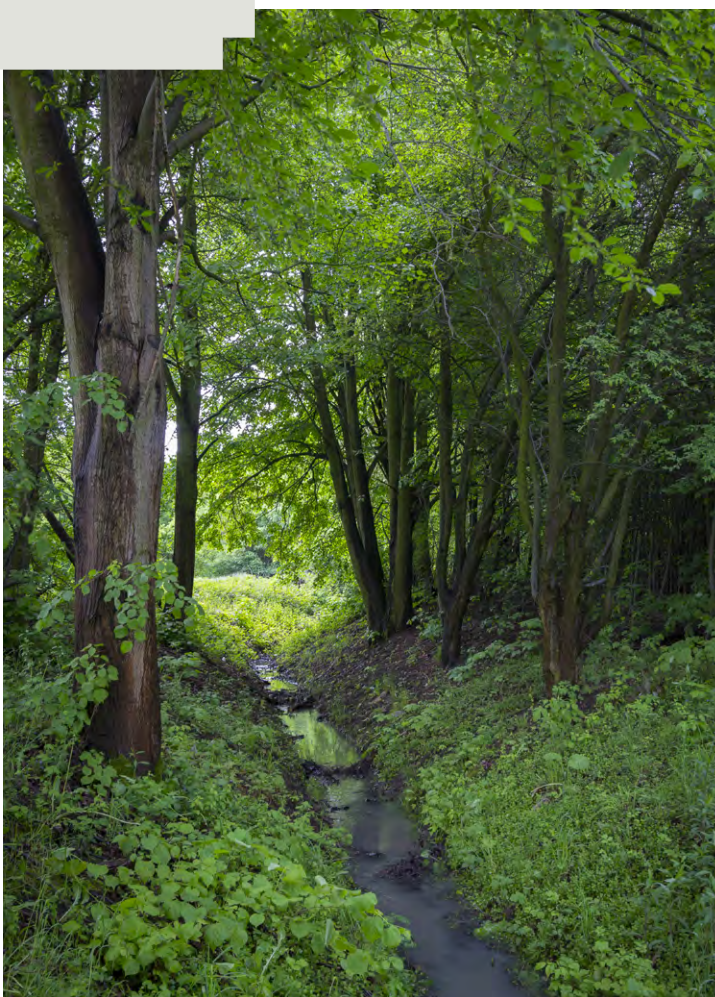
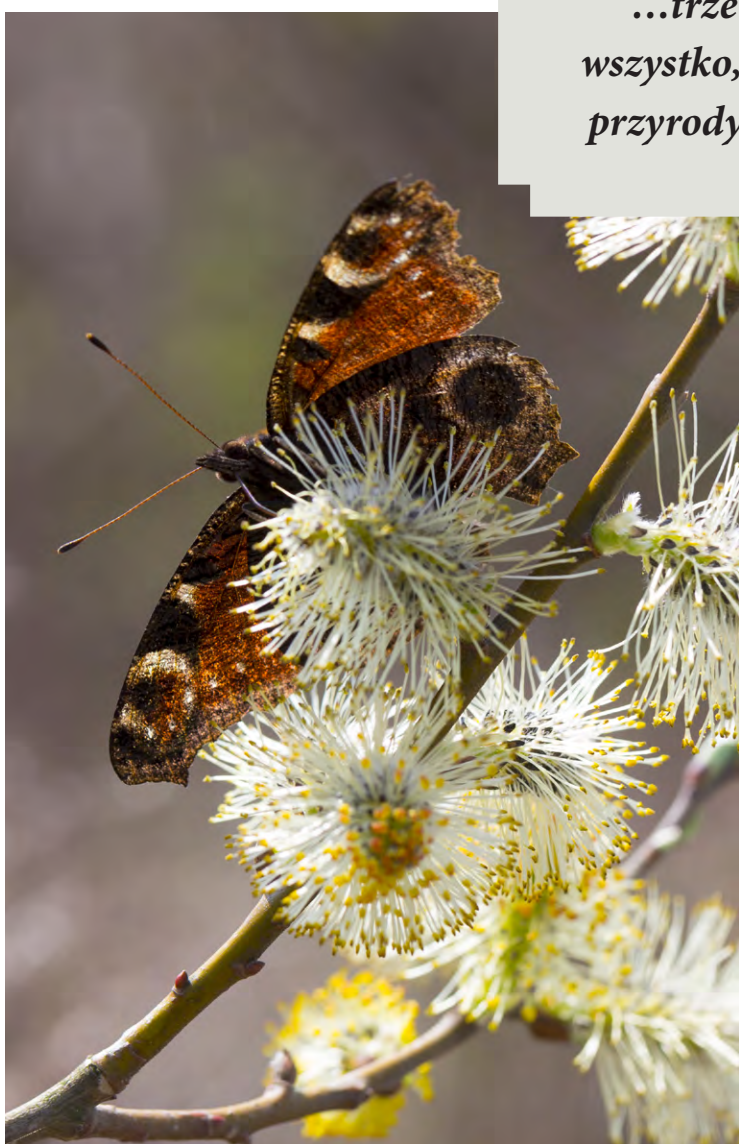
Znalazłem też bardzo charakterystyczny dwór z drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Nie był to dwór typowo polski, symetryczny, z charakterystycznym



fot. z archiwum prywatnego R. Tyszka



*...trzeba robić
wszystko, by te cuda
przyrody zachować*



miałem przed oczyma, utwierdziły mnie w przekonaniu, że trzeba robić wszystko, by te cuda przyrody zachować.

Ludzie, którzy tu zamieszkali, wiedzieli oczywiście, że powstawać będą osiedla, że deweloper ma pewne plany, bo zaczęły rosnąć domy na łąkach od strony ulicy Waniliowej. Ale to były łąki, więc trochę było szkoda, ale serce nie bolało. Zaczęło boleć, gdy wzięto się za wycinkę drzew, gdy pod piły szedł starodrzew.

Ludzie zaczęli rwać sobie włosy z głowy i zawrzało na forach internetowych. Zdali sobie sprawę, że zaczyna się dziać coś, co nie tylko zmieni charakter Zamienia, ale pozbawi wszystkich tego, co było największym plusem, największym skarbem miejscowości.

Ludzie zaczęli rozmawiać ze sobą, dyskutowali, co można w tej sytuacji zrobić. Były pomysły, żeby się na znak protestu przywiązywać do drzew, zrobić jakąś spektakularną akcję medialną, ale też zdawaliśmy sobie sprawę, że to wszystko będą działania na krótką metę. Nieskuteczne i łatwe do odparcia.

Po sąsiedzkich rozmowach, gdy rosła grupa jednoczących się w sprawie obrony parku ludzi, postanowiłem założyć stowarzyszenie. Wielu sąsiadów już działało w różnych stowarzyszeniach, mieli więc w tej materii spore doświadczenie i uważali, że to jest jedyna droga, żeby – wykorzystując prawo bez spektakularnych, obliczonych na rozgłos akcji – osiągnąć oczekiwany, długofalowy skutek.

Mnie, jako architekta i osobę znającą się na wartości tego parku, wybrano na przewodniczącego Stowarzyszenia Mieszkańców Nowego Zamienia. Zaczęliśmy pisać do różnych instytucji, wymieniać korespondencję także z urzędem naszej gminy i osiągnęliśmy pewien sukces. Pod koniec ubiegłego roku na wniosek stowarzyszenia park wpisano do wojewódzkiej ewidencji zabytków, a potem do gminnej ewidencji zabytków. Ostatniego dnia lipca tego roku konserwator wpisał część 17-hektarowego obszaru do rejestru zabytków województwa mazowieckiego.

To był sukces, bo życie gna do przodu, urbanizacja postępuje i typowo wiejski krajobraz kulturowy, który był tu kiedyś, jest już prawie na wykończeniu. Z Zamienia zrobiło się przedmieście Warszawy. Jeszcze gdzieś między domami są pola, jeszcze są łąki, ale

nie pasą się już na nich krowy i konie. Już tego nie przywrócimy, bo nic nie będzie tak, jak dawniej, ale o park, o zielone płuca tego miejsca będziemy jako stowarzyszenie walczyli do końca.

Tradycja i historia

– Mam jeszcze jedną pasję w życiu. Jest nią zamiłowanie do historii i tradycji. Nie dlatego, że to wyniosłem z domu, że tak zostałem wychowany, ale dlatego, że takiego przekonania nabrałem w życiu. Przez kilka lat jeździłem w różne miejsca na ziemi i filmowałem ludzi, którzy żyli w zgodzie z tradycją.

Wielu ludzi poznałem na Podlasiu. Poznałem rodziny, które tak jak dawniej śpiewają w domach pieśni białoruskie, ukraińskie i polskie. Poznałem też poetę, publicystę i pieśniarza ludowego, Zbigniewa Nasiadko.

Dzięki niemu i innym poznanym ludziom nabrałem przekonania, że historia i tradycja decydują o poczuciu tożsamości człowieka.

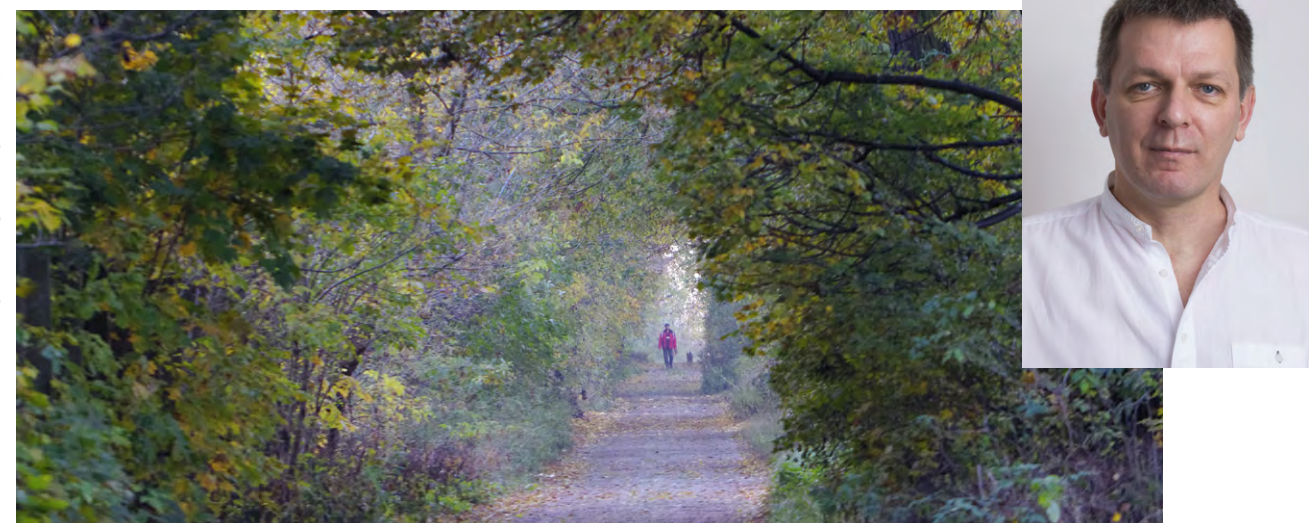
Kiedyś w Grecji na wycieczce do legendarnych, starożytnych Myken znalazłem monetę z czasów Aleksandra Wielkiego. Znalazłem ją pewnie dlatego, że od czasu pobytu na Krecie interesowałem się historią starożytną i kiedy szedłem po ścieżce, patrząc pod nogi, wiedziałem, na co patrzę. Wiedziałem, że to, co zobaczyłem, to nie jest zardzewiały kapsel z jakiejś butelki, tylko moneta z 321 roku przed naszą erą.

Zaniosłem ją oczywiście do muzeum w Mykenach, gdzie został spisany protokół i stałem się jednym z niewielu ludzi na świecie, którzy mają w tym historycznym miejscu swoje znalezisko.

Dlaczego o tym wspominam? Bo historia Zamienia, którą jeszcze widać i którą staramy się ocalić, to te sto pięćdziesiąt lat starego dworu i kilkadziesiąt lat od chwili powstania byłego zakładu surowic i szczepionek. Pomierają starzy mieszkańcy, którzy jeszcze żyją i pamiętają, jak tu dawniej było, a nowi nie będą o tym wiedzieć, bo skąd? Od kogo? Nie będzie parku, historii, pamięci.

Jeśli z tego nic nie zostanie, to Zamienie utraci swoją tożsamość. Będzie to niepowetowana strata nie tylko dla Zamienia, ale dla całego regionu. Nie można do tego dopuścić. ■

fot. z archiwum prywatnego R. Tyszka (x6)



Taniec, moje życie

Zaledwie tancerze z wielu klubów tanecznych ze Szwecji, Rosji, Ukrainy, Czech, Białorusi, Węgier i Polski dojechali po dwudniowych zmaganiach w Polish Open Championship do domu, a już Agata Kozioł, organizatorka dwudniowego, międzynarodowego turnieju, jaki w ostatnią sobotę i niedzielę września odbył się w hali Centrum Sportu i Edukacji w Mysiadle, jechała do Grecji, żeby tamtejszym instruktorom tańca opowiedzieć i pokazać, na czym polega sukces jej szkoły, Akademii Tańca PASO.



– Moja przygoda z tańcem trwa prawie tyle, ile mam lat. Całe życie. Urodziłam się w Tarnowie, w małopolskim mieście przy ujściu rzeki Białej do Dunajca. Był tam ludowy zespół pieśni i tańca. Ponieważ byłam dzieckiem ruchliwym i według mamy nadawałam się do zespołu, gdy miałam trzy latka postanowiła mnie do niego zapisać. Pojechałyśmy na próbę i mama zapytała, czy mi się podoba i czy chciałabym w nim tańczyć.

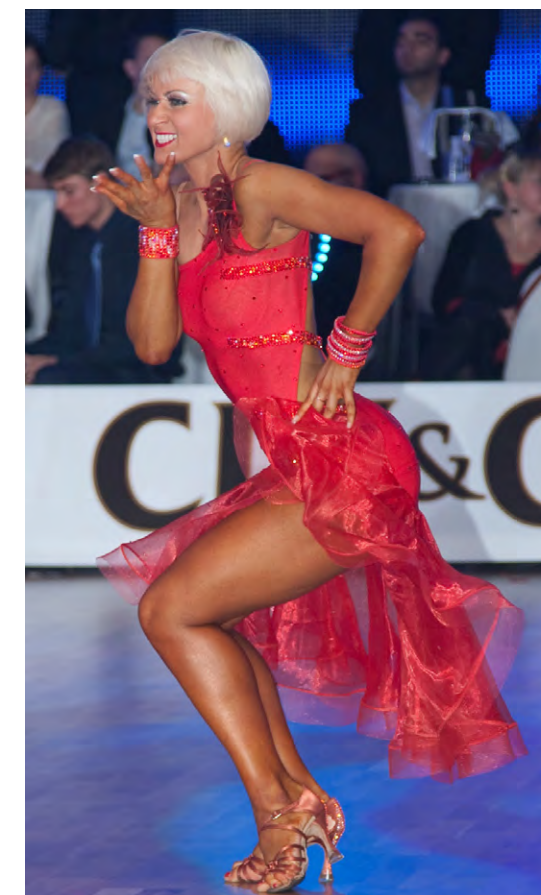
Popatrzyłam, popatrzyłam i ze szczerością, na jaką stać tylko dziecko, pokręciłam głową i stanowczo powiedziałam: „Nie. Nie chcę. Mnie się to nie podoba. Nie podobają mi się ich spódnice. W takich spódnicach tańczyć nie będę”.

Gdy cztery lata później zaczęłam chodzić do szkoły, zobaczyłam u tancerek piękne, krótkie spódniczki z frędzelkami. Wiedziałam, że to jest dla mnie. Wtedy razem z koleżankami zapisałam się na lekcje tańca towarzyskiego. Od tego dnia taniec zdominował moje życie.

Zaczęłam tańczyć w Stowarzyszeniu Tanecznym „Klasa – Tarnów”, które istnieje do dziś i właśnie obchodzi trzydzieste urodziny. Jestem honorowym członkiem stowarzyszenia, bo choć wiele dzieci zaczynało tam swoją przygodę z tańcem, to tylko jednostki takie jak ja, związały z tańcem swoje życie.

Kiedyś mogłabym powiedzieć, że taniec to moje hobby. Dziś, odkąd mam Akademię Tańca, czyli od pięciu lat, taniec wypełnia każdy dzień mojego życia. Poza tańcem nie ma niczego. Nie mam jeszcze swojej rodziny, nie mam męża, dzieci – nie wykluczam, że może przez taniec – więc budzę się i zasypiam z tańcem. Szkoła, zajęcia z dziećmi, układanie choreografii, turnieje, szkolenia, sędziowanie na zawodach – każdy dzień jest wypełniony lub związany z tańcem. Wiele czasu zajmuje mi organizacja pracy akademii. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby tego wszystkiego nie było.

Nie narzekam. Lubię pracować. Z piątku na sobotę przed turniejem Polish Open Championship, czyli Otwartymi Mistrzostwami Polski w tańcu „Latino Caribbean”, spałam tylko godzinę. Może też dlatego, że należę do tego typu ludzi, którzy uważają, że wszystko muszą robić sami, bo sami zrobią wszystko najlepiej. To pewnie nie jest patent na lata, ale moja szkoła – jak wspomniałam – ma dopiero pięć lat, więc jeszcze nie zdążyłam się zmęczyć. Jeszcze napędza mnie zapał i entuzjazm.



fot. z archiwum Akademii PASO



*...taniec wypełnia każdy
dzień mojego życia*

W akademii są zajęcia indywidualne i grupowe. Od rana do wieczora, bo lekcje z dziećmi trzeba zgrać z nauką w szkole, tym bardziej że reforma szkolnictwa nieźle namieszała i lekcje w różnych klasach zaczynają się o różnych godzinach. Jedni przychodzą rzadziej, inni częściej, zależnie od tego, jak bardzo serio traktują naukę tańca i na ile rodzice chcą w swoje pociechy inwestować. Bo nauka tańca to jedno, ale przecież jest jeszcze to, co było dla mnie jako małej dziewczynki najważniejsze – stroje.

Sukieneczek nie szyją mamy, tylko wyspecjalizowane pracownice, bo strój musi być indywidualnie dobrany do budowy i predyspozycji tancerki. Przedtem rozmawiamy, doradzam, co dla tancerki czy małego tancerza będzie najodpowiedniejsze, gdyż każdy jest inaczej zbudowany. Jedna dziewczynka ma ładne nogi, inna długie ręce, ładnie pracujące plecy i to wszystko trzeba umieć odpowiednio wyeksponować.

Jest jeszcze jedna sprawa. Podczas turnieju, gdy tancerki w strojach, przygotowane do występów, przechadzają się w przerwach między widzami, widać wyraźnie, że one podświadomie demonstrują swój strój, makijaż, swoją sylwetkę, demonstrują siebie. Widać, że lubią się w tej roli. One muszą siebie lubić, patrzeć od czasu do czasu w lustro, bo to im w tym sporcie dodaje pewności, a to jest bardzo ważne.



Taniec to taki artystyczny sport, a tancerze są jak sportowcy. Muszą trenować, mieć kondycję, doskonałą sprawność fizyczną, technikę i jeszcze pamiętać, że najważniejszy w tańcu jest wyraz artystyczny. Nie wystarczy dobrze tańczyć. Trzeba mieć to coś.

W mojej akademii nie zajmujemy się standardowym tańcem towarzyskim. Uprawiałam ten taniec kilkanaście lat i może po własnych doświadczeniach zdecydowałam, że będę uczyła czego innego – tańców latynoamerykańskich. Szybkich, dynamicznych, tańczonych przy wyrazistej muzyce, w których ważne są zmysłowe ruchy bioder, całego ciała i które można wykonać bez partnera.

Standardowy taniec towarzyski wymaga partnera. Są tancerze, którzy są razem w życiu prywatnym, i tacy, którzy tańczą ze sobą, bo się przyjaźnią czy kolegują. Tak było w moim przypadku z partnerem, który mówił, że muszę koniecznie poznać jego dziewczynę. Są też pary, w których partnerzy walczą ze sobą, współzawodniczą. I wtedy jest bardzo ciężko. Gorzej niż w nieudanym małżeństwie.



fot. z archiwum Akademii PASO (x4)



**...dzięki tańcowi miałam
wiele wspaniałych
momentów i wiele
cudownych wspomnień**

W małżeństwie można czasem trzasnąć drzwiami i przestać się na jakiś czas odzywać. Tu jak się trzaśnie drzwiami, to przestaje się razem trenować. Inni trenują, idą do przodu, a obrażony czy obrażona zostają za drzwiami. W tańcu tak być nie może. Trzeba sobie szybko podać rękę i tańczyć rumbę nos w nos, patrząc sobie w oczy, i udawać, że wszystko jest radosne i super.

W tańcu trzeba być aktorem. My z partnerem byliśmy kumplami, ale koleżanki mówiły, że gdyby nas nie znały, myślałyby, że jesteśmy w życiu parą. W tańcu, tak jak w życiu prywatnym, para musi ze sobą współpracować, tego samego chcieć i realizować ten sam plan. Jest to trudniejsze niż na przykład w tenisie, gdzie zawodnik i trener to dwie osoby, które współpracują. Tu jest para i trzecia osoba, czyli trener.

W życiu dzięki tańcowi miałam wiele wspaniałych momentów i wiele cudownych wspomnień. Pamiętam sukces na Mistrzostwach Krajów Unii Europejskiej w Marsylii. Wprawdzie było to dziesięć lat temu, ale ciągle wspominam super wynik, wspaniałą salę, świetną publiczność i gorącą atmosferę tego turnieju. Turniej Iwony Pavlović Polish Open w Olsztynie, turniej tańca na Białorusi czy na Mołdawii w Kiszyniowie.



*...najlepsze były
moje dziewczyny – grupa
Pasos Locas*

W dorobku mam tytuł mistrzyni świata federacji WADF, wicemistrzyni Unii Europejskiej federacji WDSF i udział w finale mistrzostw Polski federacji WDSF w tańcach latynoamerykańskich.

To jednak są wspomnienia, a teraz niejszość to rozliczenie turnieju i odpowiadanie na SMS-y z podziękowaniami i gratulacjami od uczestników Polish Open Championship, którzy wrócili do swoich krajów i klubów tanecznych i dziękowali mi za to, co ich w naszej gminie spotkało. Gratulowali dobrej organizacji i świetnej atmosfery. W związku z tym już myślę o przyszłym roku i kolejnej edycji turnieju.

Na pewno z tego turnieju przeniesiemy na przyszły rok zwyczaj powitania uczestników w ich ojczystym języku. To – jak już wiem – bardzo się wszystkim ekipom i sędziom międzynarodowym podobało i podniosło rangę imprezy.

Tancerze, a ściślej rzecz biorąc tancerki z siedmiu krajów, z kilkunastu klubów tanecznych – w sumie ponad trzysta pięćdziesiąt zawodniczek w różnych kategoriach wiekowych – prezentowały swój poziom, tańcząc sambę, rumbę, cha-chę, paso doble, jive'a, salsę, bachatę i merengue.

Była też konkurencja w parach i dodatkowa kategoria Masters dla pań w wieku od trzydziestu pięciu lat. W tej kategorii startowały tancerki reprezentujące kluby z Bydgoszczy, Pyskovic, Warszawy i z mojej akademii.

Muszę się pochwalić, że w ocenie międzynarodowych sędziów najlepsze były moje dziewczyny – grupa Pasos Locas, czyli Zakręcone Paso. W nagrodę pojedą na mistrzostwa świata w street i hip-hopie i wystąpią podczas imprezy towarzyszącej turniejowi.

Dodam przy okazji, że zawodniczki PASO co roku biorą udział w mistrzostwach Europy w Moskwie i mistrzostwach świata w Czechach, w Libercu, skąd przywożą zawsze wiele złotych medali. W ubiegłym roku otrzymaliśmy również nagrodę za największą liczbę startów w mistrzostwach świata.

Tak więc powodów do radości, mimo zmęczenia, mam po turnieju wiele. Ponieważ był to pierwszy turniej organizowany w naszej gminie, mówię sobie: „Pierwsze koty za płoty”. Przetarłam szlak, wiem, co można jeszcze poprawić, i już myślę o drugiej międzynarodowej edycji Polish Open Championship, czyli Otwartych Mistrzostw Polski w Tańcach Latynoamerykańskich, których organizację planuję w pierwszych dniach października przyszłego roku. ■





fot. z archiwum prywatnego J. Kitlińskiego

Najważniejsza jest ciekawość

– Ciekawość jest w tym wieku u dzieci najsilniejsza. Jak się uda dziecko zaciekawić, to dalej samo pójdzie. Tak jest z każdą dziedziną życia. Czy to będzie sport, historia czy matematyka. Najważniejsza jest ciekawość, a powinnością nauczyciela jest tę ciekawość odkryć i na nią chuchać – mówi Jacek Kitliński, nauczyciel WF i trener piłkarzy UKS Orleń Mroków. Uznaliśmy, że Czytelnikom „mojej Lesznowoli” powinniśmy pana Jacka przedstawić.

Jestem Ślązakiem.

– Urodziłem się w Tychach, jednym z większych miast województwa śląskiego, na pograniczu Kotliny Oświęcimskiej i Wyżyny Śląskiej. Moi rodzice znaleźli się tam przypadkowo – opowiada pan Jacek. – Tata był górnikiem, a były to czasy, gdy w kopalniach śląskich potrzebowali ludzi do pracy, więc władza, by ich ściągnąć na Śląsk,

dawała mieszkania. Rodzice z tej oferty skorzystali. Opuścili rodzinne Świętokrzyskie i zamieszkali w Tychach. Tam się urodziłem.

Moi rodzice pochodzili ze wsi. Od wspólnego mieszkania w Tychach zaczęli budować w mieście nowe życie, bo rodzina musi mieć dom. Nie było im łatwo. W ogóle wtedy nie było łatwo, bo rodziny górnicze żyły w nieustannym stresie. W kopalniach dochodziło często do wypadków, ale o tym się głośno nie mówiło.

Pamiętam, co się działo w bloku, gdy na kopalni było tąpnięcie. Sąsiadki jechały na kopalnię, a dzieciaki siedziały u jednej i czekały, aż matki wrócą i powiedzą, co się stało i kto zginął. Bardzo się to wryło w moją dziecięcą pamięć. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że praca na wyrobisku pod ziemią jest związana z ryzykiem, jednak nikt nie myślał, że nieszczęście może dotknąć kogoś z jego bliskich.

Po ośmiu latach życia w stresie, gdy w brygadzie taty ginął w kopalni górnik po górniku, rodzice uznali, że nie można dłużej kusić losu. Gdy tylko w 1969 roku nadarzyła się możliwość zmiany miejsca pracy i przeprowadzenia bliżej stron rodzinnych, natychmiast podjęli decyzję.

W Grzybowie, w powiecie staszowskim, wybudowano i otwarto w 1966 roku pierwszą w Europie otworową kopalnię siarki „Grzybów”. Rok później utworzone zostało Przedsiębiorstwo Doświadczalne - Kopalnia Siarki „Grzybów”. Obecnie funkcjonuje ono pod nazwą Kopalnie i Zakłady Chemiczne Siarki „Siarkopol” S.A. w Grzybowie.

W tej kopalni, tak jak w Tychach, dawali górnikom mieszkania, więc opuściliśmy Śląsk. W 1967 roku ojciec, jako doświadczony górnik, dostał mieszkanie w Staszowie.

Tam, jak większość kolegów w moim wieku, chodziłem do tech-

– Gdy pójdę na emeryturę, każdego dnia będę zajmował się czym innym. Poniedziałek – polityka, wtorek – historia, środa, czwartek – jeszcze co innego. Będę miał czas dla wnuków, bo to jest dla mnie bardzo ważne. Odbierając ze szkoły Anię, dzisiejszą pierwszoklasistkę, będę mógł rozmawiać z nią na tematy historyczne i historią – jeśli tak można powiedzieć – ją zarażać.



nikum mechanicznego. Było nas w klasie trzydziestu pięciu, w tym kilku dobrych matematyków. Wszyscy byliśmy zainteresowani sportem. Pięć lat technikum, matura i kolejny wybór – gdzie pójść dalej.

Kolega, który był matematykiem, namawiał mnie na politechnikę w Krakowie, ale ja byłem raczej humanistą, więc nie dałem się przekonać. Od najmłodszych lat był w moim życiu sport. W technikum grałem w piłkę nożną w miejscowym klubie Pogoń-Staszów, a polska piłka nożna w latach siedemdziesiątych odnosiła sukcesy. Wspomnę tylko pierwsze miejsce reprezentacji pod wodzą Kazimierza Górskiego na Mistrzostwach Olimpijskich w Monachium w 1972 roku czy drugie miejsce na Letnich Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku. To była dla mnie dostateczna motywacja, by podjąć studia na AWF-ie.

Najpierw pojechałem na AWF do Katowic, bo coś, może wspomnienia, trochę mnie na Śląsk ciągnęło. Miałem pecha. Przyjechałem z papierami, a uczelnia była zamknięta. Z rozpędu pojechałem więc do Warszawy. I tym sposobem znalazłem się na AWF-ie w Warszawie.

Moja Warszawa

– Do Warszawy zawsze miałem ogromny sentyment. W trzeciej, czwartej klasie zaczytywałem się w poezji o Warszawie. Pokochałem to bohaterskie miasto. Kocham Powązki, Aleje Jerozolimskie, Marszałkowską. Ponieważ interesowałem się historią i okresem powstania warszawskiego, nazwy te wiele mi mówiły. Były dla mnie bardzo ważne i kiedy pojawiłem się w Warszawie, poczułem się jak w swoim mieście.

Lubię Warszawę do tego stopnia, że wieczorem, gdy nie ma już takiego ruchu w mieście, lubię się do niej

przejechać. Od nas to przecież przysłowiowy rzut beretem. Mam tam kilku kolegów, którzy są rodowitymi warszawiakami, i przed nimi nie udaję warszawiaka. Mieszkam pod Warszawą, ale naprawdę kocham to miasto, bo ono ma w sobie coś. Ma duszę, ma bohaterstwo, ma historię.

Oczywiście można powiedzieć, że Kraków, Poznań, Gdańsk też mają. Ale może dlatego, że tu zacząłem w 1983 roku studia i to był mój pierwszy poważny, trwający cztery lata wyjazd z rodzinnego domu, mam do tego miasta szczególny stosunek.

To były miłe, sympatyczne lata. Mieszkalem w akademiku i robiłem specjalizację z gier zespołowych, z piłki nożnej. W tym czasie studiowali zaocznie na AWF tacy piłkarze jak Zbigniew Boniek, Mirosław Tłokiński czy bramkarz Józef Młynarczyk. Przyjeżdżali już jako znani, wybitni piłkarze, sportowcy,

pokazywali się i myślę, że jakąś tam mieli taryfę ulgową, co jest zrozumiałe. Ja ze względu na specjalizację grałem w paru klubach piłkarskich. Najdłużej w jednym z najstarszych klubów stolicy – Robotniczym Klubie Sportowym Sarmata Warszawa na Woli.

Była tam bardzo ciekawa grupa charakternych ludzi – warszawiaków z Woli. Przyjaźnimy się i spotykamy do dziś, bo te znajomości pozostają na całe życie.

W Warszawie poznałem żonę i w Warszawie, gdzie mieszkaliśmy w wynajmowanym mieszkaniu, urodził się syn Damian, a kilka lat później córka Monika.

Jako nauczyciel WF przez kilka lat pracowałem w różnych warszawskich szkołach, a pod koniec 1990 roku znaleźliśmy swoje miejsce w gminie Lesznowola.

Zaczęło się w Mrokwie

– Gmina oferowała nauczycielowi pracę i mieszkanie. Ponieważ szukaliśmy stałego miejsca dla siebie, skorzystaliśmy z tej oferty. Podjąłem pracę w szkole w Mrokwie i przez kilka pierwszych miesięcy, czekając na mieszkanie, z żoną i dziećmi mieszkaliśmy na plebanii kościoła pw. świętego Stanisława Kostki u księdza Walentego Króla, który w szkole w Mrokwie uczył religii.

W Mrokwie jako nauczyciel WF pracowałem dwadzieścia siedem lat. W 2011 roku powstał Uczniowski Klub Sportowy Orleń Mroków. Było to tak.

Mieliśmy w szkole słabą bazę. Do dyspozycji asfaltowe boisko. Ile razy myślałem o założeniu klubu, tyle razy pytałem siebie: „Gdzie? Na asfalcie?”. Przecież dzieciaki nie mogą trenować piłki nożnej tylko w hali. Trzeba mieć prawdziwe boisko. Pewnego dnia podeszła do mnie na szkolnym korytarzu mama jednego ucznia i zapytała, dlaczego u nas w szkole nie ma UKS-u. Odpowiedziałem, że nie ma, bo nie mielibyśmy gdzie trenować. Ale to

pytanie i rozmowa z mamą ucznia bardzo mnie zmotywowały. Doszedłem do wniosku, że nie ma na co czekać, bo czas ucieka, tylko trzeba działać. Porozmawiałem z kolegą, który ze mną pracował, a on powiedział: spróbujmy. I tak się zaczęło.

Na przełomie września i października 2011 roku zebraliśmy piętnastu rodziców, którzy byli zainteresowani powołaniem klubu, odbyło się zebranie założycielskie i tak powstał UKS przy szkole w Mrokwie. Pierwszy był nabór rocznika 2003/2004. Potem, co dwa lata dochodziły kolejne roczniki. Ostatni nabór to roczniki 2012/2013.

Dziś w klubie Orleń Mroków jest pięć zespołów i ponad stu systematycznie trenujących chłopców. To jest praca od zerówki. Ponieważ piłka nożna jest popularna w dwóch rocznikach, zawsze znajdzie się dwudziestu chłopców, którzy marzą o karierze piłkarskiej i chcą trenować. Zaczynamy z nimi od podstaw. Poprawiamy sprawność, przeprowadzamy elementy treningu, uczymy piłki nożnej, gry w zespole, współpracy w grupie, co jednocześnie zaszczerpia w chłopcach wartości społeczne, które w przyszłości będą bardzo ważne.

Mamy teraz gdzie trenować. Została przecież wybudowana duża hala sportowa i boisko Orlik. Cała infrastruktura sportowa jest w gestii Gminnego Centrum Sportu. Gramy i trenujemy też na boisku w Kosowie. Drużyny mają jedenastoosobowe składy.

Jako trener mam bardzo dobre relacje z rodzicami chłopców, bo wielu z nich uczyłem w szkole, a teraz trenuję ich dzieci. Znam ich, pamiętam, jacy byli, oni też mnie znają, więc inaczej o pewnych sprawach możemy rozmawiać. Dobrze jest, moim zdaniem, jeżeli nauczyciel jest na terenie ileś lat i wychował parę pokoleń, bo jest swój. Robimy coś razem.

Ja wprawdzie byłem zapalnikiem powstania UKS-u, ale żeby to się udało, musiała być grupa



...żeby to się udało, musiała być grupa ludzi, którzy chcieli razem pracować



fot. z archiwum prywatnego UKS Orleń Mroków (x4)



fot. z archiwum prywatnego J. Kitlińskiego

ludzi, którzy chcieli razem pracować. Myślę tu przede wszystkim o pierwszej prezes klubowej, pani Edycie Hlebowicz, i trenerach. Są to moi koledzy: Marcin Olszewski, Krystian Kałucki, Grzegorz Goss, Konrad Kowalczyk, Cezary Zawadzki i Daniel Wiśniewski. Myślę o obecnym prezesie Stanisławie Zborowskim, który ma na głowie ogrom pracy formalno-prawnej i organizacyjnej, i o pani Agnieszce Grodzkiej, skarbniczce naszego klubu. Bez nich to by się nie udało.

Uczniowski Klub Sportowy Orleń Mroków funkcjonuje tylko i wyłącznie dlatego, że rodzice trenujących w nim uczniów są bardzo zaangażowani.

Obecnie trenuję chłopców z rocznika 2004/2005. Patrzę na nich po ojcowsku i zawsze mówię rodzicom, że nie jest ważne to, czy ich dzieci będą piłkarzami. Ważne jest to, że coś przeżyją, że mają ze sobą kontakty, że zawiązują się na boisku przyjaźnie. To jest ważne dla nich, dla ich rozwoju intelektualnego, społecznego i fizycznego.

W szkole w Mrokwie jako nauczyciel WF pracowałem dwadzieścia siedem lat. Odszedłem, gdy w Magdalence zaczęliśmy budować publiczną szkołę katolicką. To był przełom w mojej pracy i to się też wiąże z moją wewnętrzną przemianą, o której chcę opowiedzieć, bo moje doświadczenie może się komuś w życiu przydać.



Nie rozdrapuję ran

– Miałem pracę, rodzinę, trójkę fajnych nastolatków – Monikę, Pawła i Elżbietę w domu i wydawało się, że po siedemnastu latach małżeństwa wszystko już będzie z górki. Ten optymizm musiał mi jednak coś przesłonić. Czegoś nie zauważyłem albo z czegoś nie zdawałem sobie sprawy. Dość, że czternaście lat temu nasze małżeństwo się rozpadło. To był traumatyczny, kluczowy, a zarazem przełomowy moment w moim życiu.

Rozwód to zawsze coś złego. To zło, które w jakiś sposób nas niszczy. Wiem, co mówię, bo przeżyłem to bardzo ciężko. Czasami wracam myślami do tamtego czasu, ale nie rozdrapuję ran, bo to nie ma najmniejszego sensu. Natomiast przez osobiste doświadczenie wiem, co ludzie przeżywają i dlatego mówię: „Ratujcie swoje małżeństwa wszelkimi sposobami”.

Rozwód to jest trauma nie tylko dla dorosłych, którzy się rozchodzą,

ale też dla dzieci. To jest trauma dla jednej i dla drugiej strony, tylko świadomość tego nie dla każdego jest taka sama.

Byłem mocno załamany. To była depresja. Trwała wiele miesięcy. Nikomu się nie zwierzałem, nie tłumaczyłem, bo uważałem, że sobie z tym poradzę, że dam radę. Jednak to nie było takie proste. Trafiony prosto w serce, i to od strony pleców, sam nie dałbym rady.

W małżeństwie bywają konflikty, zdarzają się zdrady i ze wszystkiego można wyjść, tylko sami nie jesteśmy w stanie tego zrobić. Jest potrzebny ten główny Zarządzający, Stworzyciel świata. On pomoże, On ma siłę na wszystko. Wiem, bo sam to przeżyłem. Kilka razy dawałem temu świadectwo. Wyszedłem z traumy całkiem inny, wzmocniony, ale to był proces.

Po rozwodzie jestem już czternaście lat. Czternaście lat samotności w życiu mężczyzny po przejściach to kawał czasu, a ja naprawdę jestem

teraz szczęśliwym człowiekiem. Szczęśliwym, że jestem tu, gdzie jestem, że robię to, co robię, i nie mówię tego, by udawać, bo sam wewnętrznie byłbym skłócony, gdyby to nie była prawda. Kiedy mówię o tym swoim dorosłym już dzieciom, to one nie wierzą do końca, że nie jestem chodzącym smutkiem nadużywającym alkoholu czy narkotyków lub facetem, który korzysta z samotności i zmienia panienki.

Świadomie pewnych rzeczy nie robię. Przeżywam tę moją samotność, bo nastąpiło we mnie poważne nawrócenie. Nie zrobiłem tego sam. Pan Bóg mnie w tym trudnym momencie dotknął i to bardzo poczułem.

Mężczyzna, żeby się nawrócił, musi dostać naprawdę mocnego kopniaka. I ja ten mocny cios dostałem. Świat zaczął mi się usuwać spod nóg, czułem się totalnie bezsilny i zaczęły mnie nachodzić myśli samobójcze. Nie mogłem pogodzić się z faktem, że po siedemnastu latach małżeństwa mnie coś takiego spotyka. Nieprawdopodobna historia. To tak, jakby kosmita wylądował w ogródku. Nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli, że to się stanie. I to był ten problem.

Dziś już wiem i mogę to każdemu powiedzieć, że jeżeli widzimy, że coś jest nie tak, że się w małżeństwie nie dogadujemy, to trzeba działać zapobiegawczo, a nie czekać i patrzeć, jak to się dalej rozwine. Bo może się skończyć tak jak u mnie i każde pójdzie w inną stronę.

W życiu jest często tak, że człowiek upada i się podnosi, a gdy się podniesie, to jest dużo silniejszy. Jestem na sto procent przekonany, że ta bardzo trudna, zła pod każdym względem sytuacja, może wpływać na duchową przemianę człowieka.

Żeby przez to przejść, musimy mieć pomoc stamtąd, z góry, bo człowiek sam sobie nie poradzi. Tak było ze mną. Jak człowiek zostaje trafiony i jest ranny, to musi być proces, żeby się z ran wyleczył. Ja to wiem. Trwało to długo, bo prawie dziesięć lat, ale



foto z archiwum prywatnego UKS Orleńca Mroków

...obecnie trenuję chłopców z rocznika 2004/2005

się wyleczyłem i dziś – jak powiedziałem wcześniej – jestem szczęśliwy, że jestem tu, gdzie jestem, że robię to, co robię. Mam klub, swoje orleńca, mam dzieci, wnuki – Anię i Leosia, grono znajomych i przyjaciół. Uczę w katolickiej szkole, mam swoje zainteresowania i mnóstwo nieprzeczytanych książek. Widzę siebie w różnych innych aktywnościach, więc czekam z chęcią na czas emerytalny. Na pewno będę miał co robić. ■





Ania z warzywniaczka

fot. z archiwum prywatnego A. Rykowskiej



Osiedlowy sklepik to miejsce szczególne. Nie tylko dlatego, że jest nasz, ale dlatego, że spotykają się w nim ludzie, którzy się znają. Właścicielka sklepiku za ladą to nie ekspedientka, tylko ktoś bliski. Ktoś, komu można się zwierzyć, z kim można porozmawiać o radościach i kłopotach dnia codziennego, opowiedzieć o dzieciach, wpaść po mleko i bułkę na śniadanie i powiedzieć: gdy wrócę z pracy, to zapłacę.



...osiedlowy sklepik to miejsce szczególne

Jest taki sklepik na Krzywym Osiedlu w Nowej Iwicznej, którego właścicielami są Anna i Rafał Rykowski. Pan Rafał jest zaopatrzeniowcem, na głowie pani Anny jest sklep. Dzień spędza za ladą, a jak ktoś głodny wpadnie do sklepu i poprosi, to zrobi mu kanapki.

Pierwsze były truskawki

– Poznaliśmy się w słynnym piaseczyńskim Polkolorze, czyli Zakładach Kineskopowych „Unitra-Polkolor”, które od 1991 roku były spółką joint venture z francuskim koncernem Thomson Consumer i nazywały się Thomson Polkolor. Produkowano w nich podzespoły i kineskopy do kolorowej telewizji. To było jakieś piętnaście czy szesnaście lat temu – opowiada pani Anna.

– Rafał pracował na początku linii produkującej cewki, a ja na jej końcu, w kontroli, która sprawdzała jakość wyrobu. Pracowaliśmy w jednym zespole, ale nie znaliśmy się osobiście. Pewnego dnia kontrolowałam jakąś cewkę i coś mi się w niej nie podobało. Wzięłam ją do ręki i poszłam z nią do mło-

dego człowieka, od którego wyszła. Już miałam coś powiedzieć, ale spojrzałam na niego i... nie powiedziałam nic. Nie mogłam, bo coś nagle zaiskrzyło. Tym młodzieńcem był właśnie mieszkający w Mysiadle Rafał.

Pobraliśmy się i razem ruszyliśmy przez życie. Mamy dwunastoletniego syna, ucznia szkoły w Mysiadle.



fot. z archiwum prywatnego A. Rykowskiej

Pewnego dnia pojechaliśmy na wycieczkę i przy okazji odwiedziliśmy mojego wujka, który ma gospodarstwo rolno-sadownicze. Nie pracowaliśmy już w Thomsonie. Była wiosna i na plantacji wujka pięknie kwitły truskawki. Spodziewano się ładnych zbiorów, ale wujek specjalnie się nie cieszył, bo akurat podupadł na zdrowiu

moja Lesznowola

i bardzo się tym martwił. Od słowa do słowa doszliśmy do wniosku, że skoro wujek nie ma zdrowia, by z łubiankami jeździć na giełdę czy do punktów skupu, to spróbujemy mu pomóc.

Kiedy zaczął się sezon na truskawki, zaczęliśmy przywozić je do Nowej Iwicznej i sprzedawać z samochodu na istniejącym wówczas małym bazarku naprzeciwko szkoły. Truskawki były pyszne. Naprawdę miały wyróżniający się smak, bo – jak to się mówi – były prosto z krzaka, codziennie zbierane i bezpośrednio przywożone na bazar.

Mimo że nie byliśmy jedynymi sprzedawcami truskawek, to na brak chętnych nie mogliśmy narzekać. Ile przywieźliśmy, tyle szło do ludzi. Z czasem przenieśliśmy się na większy bazar obok szkoły.

Ponieważ ludzie zaczęli nas rozpoznawać, mówić do mnie na ulicy: „Dzień dobry, pani Aniu”, spróbowaliśmy w oparciu o uprawy wujka sprzedawać nie tylko truskawki. Doszły inne sezonowe warzywa i owoce. Handlowaliśmy od wiosny do pierwszych mrozów.



Wkrótce nasz punkt sprzedaży stał się miejscem spotkań. Okazało się, że wielu klientów mieszkało na tej samej klatce schodowej czy w sąsiednim domu i tak naprawdę poznawali się u nas, robiąc zakupy.

W pewnym momencie przenieśliśmy nasz punkt z bazaru przy szkole za szlaban, do osiedla Krzywa Iwiczna. Szlaban ten jednak był dla wielu klientów zaporą nie do pokonania. Przekonaliśmy się o tym, gdy otworzyliśmy swój stragan pod parasolami. Dla tych, którzy mieszkali w Nowej Iwicznej po drugiej stronie szlabanu, droga do Krzywego Osiedla, gdy często musieli czekać na deszczu, aż przejadą pociągi, była zbyt uciążliwa i z niej zrezygnowali.

Spożywniaczek

– Od dwóch lat nie stoimy już na deszczu, nie prowadzimy handlu pod chmurką. Któregoś dnia jeden ze znajomych zapytał nas, co robimy zimą, bo chce na osiedlu postawić budynek i propo-



nuje nam otwarcie w nim sklepu. Była to dobra propozycja. Patrzyliśmy na rozpoczynającą się budowę i już widziałam, jak urządzam nasz sklep. Wiedziałam, że za kilka miesięcy zamkniemy na zawsze nasz stragan z warzywami i przejdziemy do prawdziwego sklepu, który nie będzie zamykany na zimę.

I tak się stało. Teraz mogę powiedzieć, że z naszym sklepikiem jesteśmy częścią tego osiedla. Znamy ludzi i ludzie nas znają, co pozwala na zupełnie inne relacje niż klient i właściciel sklepu. Tu są raczej takie relacje, jakie panują między dobrymi sąsiadami. Zawsze do sąsiada można przyjść po szklankę cukru, pogadać, poprosić, by przez chwilę przypilnował dzieci.

Do takiego osiedlowego sklepu rodzice często wysyłają po zakupy dzieci. Mogę nawet powiedzieć, że kontakt z małymi klientami sprawia mi wiele radości, bo ja ich uczę obcowania z pieniędzmi. Czasem obserwuję, że dla trzynastoletnich dzieci, które posługują się kartą płatniczą, bilon, który jest przecież też



pieniędzem, nie ma znaczenia. One nie znają wartości bilonu. Gdy mówię na przykład, że chipsy kosztują sześć złotych, to mały klient odpowiada, że ma tylko siedem.

Tu mam pamiątki po moich małych klientach. Kartki, z którymi przychodzą po zakupy. Zbieram je i wiem, kto je przyniósł. Gdy dorosną i będą mieli po jakieś osiemnaście lat, pokażę im, po jakie zakupy przychodzili.

Jakoś udało nam się wpisać w tę atmosferę sąsiedzkiego zaufania, jaka panuje na tym bajkowym osiedlu.

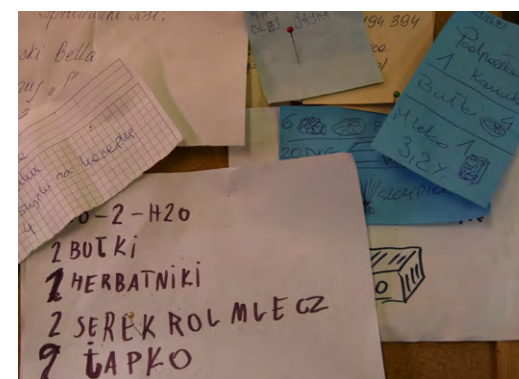
Często przecież jest tak, że wpada do nas jakaś rozpędzona mama i już od progu mówi: „Pani Aniu, biorę dwie bułeczki, zapłacę później, bo już jestem spóźniona”.

„Aniu, potrzebuję na jutro do przedszkola jesienne owoce. Biorę jabłko, sliwkę, gruszkę i co tam masz jeszcze. Płacę i lecę, bo dzieci są same w domu. Ile? – Cztery złote. Leć, leć”.

– To są sytuacje prawie codzienne i one mniej więcej ilustrują stosunki panujące między mieszkańcami osiedla a naszym Spożywniaczkiem. Miłe, zabawne i prawdziwe.

Bywa, że ktoś przychodzi i nie ma pieniędzy, to mówi otwarcie, że chwilowo u niego kruch. Nie ma dziś, będzie miał jutro. Nie jutro, to dziesiątego czy po wypłacie. Na tym polega życie. Człowiek musi człowiekowi pomagać.

Do mnie zawsze można wpaść, nawet w niedzielę po świeże pieczywko na prawdziwym zakwasie, i powiedzieć: „Pani Aniu, niech mi pani zostawi to czy tamto, jak będę wracał czy wracała z pracy, to odbiorę”. I pani Ania zostawi.



...mam pamiątki po moich małych klientach



U pani Ani można zamówić coś, czego do tej pory w sklepie nie było, i pani Ania to sprowadzi. Taka już jestem. Klientki namówiły mnie na przykład, bym sprowadziła owoce kokosa, z których panie uprawiające fitness robiły sobie koktajle. I nie chodziło o kokosy i ich kokosowe mleczko, tylko o owoce, które były w drugiej fazie dojrzewania, ociosane w stożek, bo takie podobno są najlepsze. I ja je sprowadziłam.

Mieliśmy też dostawcę, który uprawiał ekologiczne buraki i ogórki. Zaopatrywał nas w pyszny zakwas z buraków, bo akurat wtedy była modna dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej i zakwas był poszukiwany przez panie.

Na wakacje, łącząc przyjemne z pożytecznym, wyjeżdżaliśmy do rodziny na zbiór malin i robiliśmy z nich naturalne soki dla naszych stałych klientów.

Mam swoje źródła i sprawdzonych rolników dostawców. Mamy swojską wędlinę. Gdy zbliża się pierwszy listopada sprowadzamy dynie i zaczynamy wycinać je na Halloween. Raz jeden z mieszkańców zamówił u nas trzydzieści powycinanych dyń. Dwie z nich ważyły po pięćdziesiąt kilogramów. Było co robić.





Odkąd prowadzimy sklep, zmieniliśmy nazwę z Warzywniaczka u Ani na Spożywniaczek, bo przecież mamy w sklepie nie tylko warzywa i owoce, jak to było dawniej, gdy sprzedawaliśmy towar z samochodu czy na straganie. Do wszystkiego doszliśmy w naszym małżeństwie ciężką pracą. Do tego sklepu również.

Kocham ten sklep i to, co robię. Jesteśmy w sklepie od świtu do nocy. Kocham ludzi, którzy tu mieszkają, i jak własne kocham dzieci z tego osiedla. One nawet próbują się ze mną utożsamiać. W upalne dni sprzedają lemoniadę. Przychodzą do mnie, kupują cytryny lub pomarańcze, idą do domu, robią lemoniadę i sprzedają na mostku. Potem zarobione pieniądze wydają u mnie na jakieś łakocie.

Robienie i sprzedawanie lemoniady staje się pomału tradycją przechodzącą z jednych na drugich. Zaczęło się to jeszcze wtedy, gdy mieliśmy stragan, namiot i parasol. Pamiętam, że ten nasz stragan był z dwóch stron osłonięty takimi płachtami od wiatru i któregoś dnia moją uwagę zwrócił gwar za jedną z nich. Wyjrzałam, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, i zobaczyłam taki obrazek.

Dziewczynki przyniosły stolik, krzeselka, wystawiły kartkę z napisem „lemoniada obok pani Ani” i sprzedawały lemoniadę. I tak to się zaczęło.

Dzieciaki potrafią zaskakiwać. Jest taki chłopiec, który po szkole lubił wpaść do mnie do sklepu, żeby porozmawiać. Pytał, co u mnie, opowiadał, jak było w szkole, ile miał

kartkówki i z czego, jak mu poszło. Niektóre dzieci traktują mnie jak ciocie.

Podobnie jest z niektórymi dorosłymi. Znam ich. Przychodzą po jajka, które nie są im tak naprawdę potrzebne, i widzę, że czekają, bym zapytała, co się stało. Co ich gniecie, bo to, że coś im leży na wątrobie, widzę, gdy tylko wejdą do sklepu. Opowiedzą i od razu jest łzej. Słucham, dzielę z nimi ich zmartwienia, ale nauczyłam się mieć do tego dystans.

Kiedyś przez pewien czas pracowałam w firmie zajmującej się doradztwem finansowym. Tam nasłuchiwałam się historii i przeżywałam dramaty ludzi, którzy – jak to się mówi – mieli nóż na gardle i nie potrafili sobie poradzić. To były prawdziwe tragedie. Szybko się z tej pracy zwolniłam, bo nie byłam w stanie być obojętna na to, co słyszałam, a pomóc nie mogłam.

Tu staram się wysłuchać, cieszą mnie sukcesy, dzielam troski i problemy, ale ich już tak nie przeżywam jak tam. Radzę sobie z tym.

Na tym osiedlu mieszkają bardzo ciekawi ludzie. O niektórych już w „mojej Lesznowoli” czytałam. Mieszkają tu artyści, malarze, ludzie mediów, graficy, brydżyści. Tu kręcony jest popularny telewizyjny serial „Rodzinka.pl”. Ładnie jest tutaj o każdej porze roku, bo osiedle ma swój niepowtarzalny klimat i urok. Zresztą, wystarczy przeczytać nazwy uliczek: Pokrętna, Zawila, Przy wiatraku, Do rynku, Malutka i Zakamarek.

Wspomniałam, że na osiedlu jest kręcony serial „Rodzinka.pl”. Przychodzą więc do nas aktorzy, którzy w serialu grają, i pewnego razu przyszedł jeden z dwiema dziewczynkami z serialu i zapytał, czy nie mam czegoś do zjedzenia, bo catering tego dnia na planie im nie smakował.

„To co byście zjedli? – zapytałam. – Najchętniej jakieś kanapki – odpowiedział. – Dobrze, zrobię wam kanapki, tylko powiedzcie, z czym chcecie? – Naprawdę zrobi pani kanapki?”. Zrobiłam. Taki jest urok sklepiku osiedlowego.

Kiedyś, na początku naszej działalności handlowej, dzieci mówiły: „Idziemy do pani Truskawki”. Potem nazywały mnie „panią Warzywko”, a starsze mówiły: „Idziemy do pani Ani”. Potem był Warzywniaczek i taką mamy stronę na fb.

Nazwę „Spożywniaczek”, która jest na naszym sklepie, wymyślił mąż, bo słusznie uznał, że ona szerzej informuje o tym, co jest w naszym osiedlowym sklepiku. Powtórzę jeszcze raz i mogłabym to powtarzać wiele razy: kocham ten nasz sklepik. ■



...kocham ten sklep
i to, co robię



LESZNOWOLA

LESZNOWOLSKIE ŚWIĘTO DYNI



Czas szybko mija. Już październik. Jeszcze w pamięci mamy obrazy z poprzedniej jesieni, a tu trzeba dodawać nowe. Jest kolorowo, bywa deszczowo i poranki okryte mgłą nie są już takie ciepłe. Taki klimat. Trzeba się z tym pogodzić, można się przyzwyczaić, polubić albo szukać pozytywnych emocji i czerpać ze słonecznych chwil.

W naszej gminie październik ma tradycyjnie kolor pomarańczowy. Ten miesiąc należy bowiem do dyń. Choć odmian ich jest bardzo wiele, to zdecydowana większość ma tę właśnie barwę.

Szukając pozytywnych emocji, po raz kolejny byliśmy na corocznym

„Biegu po dynię”. Ta impreza napawa optymizmem. Dodatkowo tego dnia była piękna pogoda i choć impreza wypadła w przeddzień wyborów parlamentarnych, to przedwyborczą gorączkę skutecznie stłumił gwar zawodników i doping publiczności. Słońce wyszło zza chmur punktualnie przed pierwszym biegiem i zostało do końca dnia.

Na bieżni stadionu w Lesznowoli jak zwykle stanęli mali i dorośli. Najmłodsza zawodniczka, Zosia, miała dwa lata i w czasie zeszłorocznego biegu dopiero uczyła się chodzić. W tym roku stanęła na starcie. Obok niej pobiegli ci, któ-

rym pokonywanie dystansu lepiej wychodzi, gdy mamę trzymają za rękę. Po nich kolejne roczniki płynnie pokonywały wyznaczone odległości, ustanawiając kolejne coraz lepsze wyniki.

Plusem tej zabawy, oprócz korzyści wynikających ze spędzania czasu na świeżym powietrzu, jest brak przegranych, radość zawodników i jeszcze większa radość rodziców. I choć czasami łzy jak groch spływały po policzkach, bo mały zawodnik miał większe ambicje, niż udało mu się zrealizować, to w pobliżu zawsze była mama i jakoś udało się wyjść na prostą.

Kiedy sportowe emocje opadły, można było odwiedzić pobliskie stoiska, a tam każdy znalazł coś dla siebie. Były swojskie, regionalne wędliny od babci Reginy, miody w sam raz na jesienne chłody, misiowe koło fortuny i obowiązkowa gminna zupa dyniowa. Były dynie różnych gatunków i dyniowe rzeźby.

Dla żądnych wiedzy Gminny Ośrodek Kultury przygotował „Dyniowe ABC”, a dla najmłodszych dyniowy konkurs z nagrodami, który cieszył się dużą popularnością. „Bieg po dynię” zorganizowało jak zwykle

nasze Centrum Sportu, a święto dyni urząd gminy.

I choć święto dyni mamy za sobą, kolor pomarańczowy i dynie jeszcze długo nie znikną z lesznowolskiego krajobrazu. Drewniane stragany przy ulicy Słonecznej zapełniły się już pomarańczowym warzywem w towarzystwie czerwonych papryk i długich warkoczy czosnku. Przyszedł też już czas na halloweenowe lampiony i robienie dyniowych zapasów, bo gdy nadejdzie zima, nic nas tak w mroźne wieczory nie rozgrzeje jak zupa dyniowa z imbirem. ■



Kawa jest ulubionym napojem milionów ludzi na całym świecie. Bez jej smaku wielu nie wyobraża sobie początku dnia. Ciepła filiżanka w chłodne poranki pobudza i daje sygnał, że dzień można zacząć. Zapach świeżo zmielonych ziaren uznawany jest za jedno z najprzyjemniejszych doznań.

NA KAWOWĄ NUTĘ

Espresso, lungo i americano, cappuccino, latte macchiato, irish coffee, cafe rappe... – prawdziwym kawoszom te nazwy mówią wszystko, a czasy kiedy kawę dzielono na czarną i białą dawno już minęły. Parzenie kawy to dziś sztuka i rytuał. I choć kawę przygotowują codziennie miliony ludzi, tylko nieliczni zostają mistrzami w tej dziedzinie. Z dalekiej Etiopii, gdzie została odkryta, kawa przebyła daleką drogę i zawładnęła światem.

Kiedy jesień rozhula się na dobre, a za oknem szare chmury będą pokrywały niebo, przyjdzie czas na drobne przyjemności. Nic przecież tak nie poprawia nastroju jak małe co nieco. A ponieważ kawa to jeden z najbardziej ulubionych napojów, pozostajemy w jej smakowej aurze. Dziś sięgamy po kilka propozycji, które mamy nadzieję, okażą się dobrym pocieszycielem w jesienne miesiące. Kawa to przecież nie tylko napój. To także doskonały dodatek do pysznych ciast i deserów.



**KRUCHE CIASTECZKA
KAWOWE**

SKŁADNIKI

4 łyżeczki kawy rozpuszczalnej, 200 g miękkiego masła, 75 g ciemnego cukru muscovado, 225 g pszennej mąki, 3 łyżki kakao, 1,5 łyżeczki proszku do pieczenia, 1/2 łyżeczki cynamonu, szczypta soli

Masło utrzyj dobrze z cukrem, cynamonem i solą. Dodaj mąkę, kawę, kakao, proszek do pieczenia. Wszystkie składniki dokładnie połącz. Z ciasta uformuj małe kulki i połóż na blasze wyłożonej papierem do pieczenia. Między kulkami pozostaw odstępy, bo ciasteczka urosną i rozleją się na boki. Blachę wstaw do piekarnika nagrzanego do 180 stopni i piecz ciasteczka przez 20-25 minut.



KAWOWO-PISTACJOWA PRZYJEMNOŚĆ

SKŁADNIKI

60 ml gorącego espresso, 2 łyżki likieru kawowego, 2 gałki lodów waniliowych, pokruszone pistacje

Do szklanki nałóż lody, oblej gorącym espresso i likierem kawowym. Obsyp pokruszonymi pistacjami. Podawaj od razu.



KAWOWE CIASTO Z KAWOWĄ POLEWĄ

SKŁADNIKI

łyżeczek kawy rozpuszczalnej, 1/4 szklanki mleka, 120 g miękkiego masła, 3/4 szklanki cukru, 1 szklanka mąki, 2 jajka, szczypta soli, 1,5 łyżeczki proszku do pieczenia
LUKIER: 1 łyżka kawy rozpuszczalnej, 3/4 szklanki cukru pudru, 2 łyżki mleka

Kawę zalej gorącym mlekiem i odstaw do wystygnięcia. Jajka ubij z masłem, dodaj cukier i wymieszaj. Dodaj przestudzoną kawę, wszystkie składniki suche i wymieszaj ponownie. Ciasto przełóż do formy i włóż do nagrzanego w temperaturze 175 stopni piekarnika. Piecz przez 45 minut. Przygotuj lukier. Cukier połącz z kawą, dodaj mleko i dokładnie wymieszaj. Powinien powstać gęsty lukier. Kiedy ciasto przestygnie, polej nim całość.



KAWOWE MUFFINKI

SKŁADNIKI

2 łyżki kawy rozpuszczalnej, 100 ml wrzątku, 2 szklanki mąki, 80 ml oleju, 1/2 szklanki cukru, 3 jajka, 2 łyżeczki cukru wanilinowego, 1,5 łyżeczki proszku do pieczenia, 50 g mlecznej czekolady

Kawę zalej wrzątkiem i odstaw do przestygnięcia. Do miski przełóż jajka, olej, cukier, cukier wanilinowy i ostudzoną kawę. Wszystko dokładnie wymieszaj. W drugiej misce połącz mąkę z proszkiem do pieczenia. Teraz wymieszaj ze sobą składniki mokre i suche. Przełóż do formy na muffinki. Wstaw do piekarnika nagrzanego do 170 stopni i piecz przez 20 minut. Czekoladę rozpuść w kąpeli wodnej i posmaruj nią przestudzone muffinki.



MASCARPONE Z KAWOWĄ POLEWĄ

SKŁADNIKI

1 łyżeczka kawy rozpuszczalnej, 500 g sera mascarpone, 1/2 filiżanki kawy, 3 łyżeczki nutelli, 4 łyżeczki cukru

W filiżance przygotuj kawę i poczekaj, aż wystygnie. Do miski przełóż serek mascarpone i cukier. Zmiksuj dokładnie. Dodaj łyżeczkę kawy rozpuszczalnej i zmiksuj. Dodaj 2 łyżki zimnej kawy i ponownie zmiksuj. Krem przełóż do miseczek. Przygotuj polewę. W miseczce wymieszaj trzy łyżki nutelli z trzema łyżkami kawy i polej serową masę. Możesz wstawić do lodówki i poczekać, aż lekko się zmrozi lub podawaj od razu.





Addio pomidory

*Minął sierpień, minął wrzesień, znów październik i ta jesień
rozpostarła melancholii mglisty woal.*

Nie żałuję letnich dzionków róż, poziomek i skowronków...”

Jeremi Przybora